



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Wydawca Michał Glücksberg

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KANTORZE DRUKARNI

Laskauera i Babickiego.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza“ po kop. 15 za wiersz pelitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim w Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebena i Spół. kwart. 5 marek.

## Przy kominku.

(Pogawędka).

W dniu 14-ym b. m. kościół archikatedralny w Warszawie wypełnił się mnogim tłumem inteligencji. W prezbiterium zajęli miejsce sami prawie przedstawiciele piśmienictwa naszego, z zarządkiem Kasy literackiej na czele. Po chwili uderzył dzwonek przy drzwiach zakrystyi, na chórze odezwał się śpiew przy akompaniamencie organów, a do Ołtarza Pańskiego zbliżyło się trzech kapłanów w kapticach żałobnych, i rozpoczęła się cicha ofiara Mszy świętej. Nie było katafalku, świec i kwiatów, nie było marmuru czy gipsu, któryby rysami nieboszczyka spojrział na tłumy, modlące się cicho, i rozbudził zamierającą pamięć o tym, o którym w dniu dzisiejszym przypomniawszy ostatnie pokolenie braci jego po lutni. W setną rocznicę urodzin modlono się za duszę ś. p. Józefa Bohdana Zaleskiego.

Obrzęd poważny, ale bez wystawy żadnej, bez muzyki orkiestrowej i śpiewu chóralnego; ta pamięć skromna, ta skromna wypłata długu przez pokolenie dzisiejsze pieśniarzowi, który w swoim czasie wypełniał wszystkie zakątki ziemi polskiej — jakimś dziwnym napełniły mnie smutkiem. Należąc do pokolenia starszego, upajałem się dźwiękami lutni Bohdanowej, rzec można, że wyrosłem pod wpły-

wem tych samych marzeń i snów, a młodym było się jeszcze w tych czasach, kiedy Bohdan Zaleski na Parnasie polskim zajmował jedno z pierwszych miejsc. Ale z biegiem lat, ze zmieniającymi się wciąż warunkami, z nowym ukształtowaniem się społeczeństwa — mała coraz bardziej znaczenie dum i szumek, i obco dzisiaj nam jest wśród owych drużyn kozackich; jakby o wieczność całą oddaliły się od nas limany i porohy Dnieprowe, z czarowanym światem rusałek, jeziora śpiewające, rozgłosne, szerokie „ura-ho“ stepowe.

W jednej z ostatnich pieśni swoich, Zaleski, żegnając „swój zachód słońca w mogilniku,“ nie myślał może, że z tym jego życia zachodem, i pamięć o nim zbyt szybko zagasnie; nawet na kartach dziejów literatury ojczyznej, ten, którego Mickiewicz nazywał „jednym z największych poetów Słowiańszczyzny“ — bardzo skromne stanowisko zajmuje dzisiaj, a sądy o nim są niemiłosiernie okrutne. „Na śpiewaku — powiada Wiktor Gomułicki — na śpiewaku, co był cały z puchu, z płatków róży, z piórek ptasich, z kwietnego pyłku, położyła ciężką rękę krytyka pozytywistyczna i brutalnie go przygniotta.“

I czegoż bo nie zarzucano pieśniarzowi naszemu!... W poezyi jego chciano widzieć to, co nie było wcale zadaniem poezyi; szukali wszystkiego, a nie dostrzegli jednej najważniejszej rzeczy, która jej duszą jest: uczucia! Wielbiciele czystego piękna może i dziś się rozkoszować piosnkami Bohdana; piszący te słowa, który urodził się w tej samej krainie,

gdzie światło dzienne i autor „Złotej dumy“ ujrzał; którego pierś ten sam wiatr, płynący od morza Czarnego owiewał; te same dumy kołysały, te same wspomnienia karmiły: okrom niezrównanego piękna poezyi i głębi uczucia, widzi jeszcze tam świat cały, który otaczał kolebkę ostatniego piewcy Ukrainy, rozumie te sny, w których wcielenie się stary bandurzysta wierzył, a jeżeli prysły na mgłach zawieszony tęcze, żal czuje, jaki się uczuwa po skonaniu każdym.

Ale, Bogiem a prawdą, nie dziwimy się tej obojętności szerokiego ogółu: Granice, w których zamknął pieśni swoje poeta, za ciasne były; zbyt umiłował i wyolbrzymił cząstkę, o stokroć większej zapominając całości, a żadnej już dzisiaj wspólności nie mającej z jego wymarzoną kozaczyzną, za obco nam jest z nią; piękną zaś formę nazwalibyśmy misternym kielichem kwiatu, z którego woń uleciała, zostało wprawdzie uczucie jeszcze, ale i ono przeważnie skierowane zostało do widma, mary, która nigdy, pożądanem przez pieśniarza życiem już nie ożyje.

Dzisiejsi krytycy nasi, porównywając Zaleskiego z Goszczyńskim, ostatniemu przyznają pierwszeństwo, lepsze zrozumienie ducha czasu, większą znajomość historii i duszy opisywanego ludu. Bohdanowi kozacy za rycerzy są, zanadto szlachetni, zanadto ulegli Rzeczypospolitej dawnej. Nie widzimy ich, jak chce prawda, w koszulach przepojonych dziegiem, pachnących siwuchą, dyszących nienawiścią. Nie ostrzą tam nożów na La-

chów, nie podkopują buntami bytu Rzeczypospolitej — wszystko się tam przeciwnie dzieje, nawet się mówi „o woli sejmu i króla“ (Duma o Kosińskim). To rycerze bez skazy żądnej, jednej matki synowie, rodzeni a kochający się bracia.

Takiemu przedstawianiu sprawy sprzeciwiają się historyczne fakty. Bliżsi prawdy są rzezunie Goszczyńskiego, dzicz, nic nie mająca wspólnego z rycerstwem. W takim „Zamku Kaniowskim“ do spraw ludzkich mieszają się i siły przyrody; rozmowy puszczyków są przepowiednią nieszczęścia, — na gorącym uczynku schwymano tu zabobony i wierzenia gminne. Taki Nebaba, taki Szwaczka, Orlika czy Ksenia — to postacie żywcem wydobyte z chat chłopskich i stepowych chutorów; przemawia przez nich żywiołowa siła mas; zwierzęcy instynkt, żadnym ludzkim nie hamowany prądem; barbarzyński, doraźny czyn za krzywdy doznane. *Ultima ratio* — jest nóż, a co tam później będzie — to już nie ich głowa jest na to. Autor „Zamku Kaniowskiego“ nie patrzył przez szkła różowe ani na przeszłość, ani na przyszłość, sąd trzeźwy ochronił go od mrzonek wszelkich i dlatego laskawszy sąd krytyków otrzymał.

Nam się jednak zdaje, że rozpatrując twórczość jakiegokolwiek bądź poety, ażeby sąd nasz był sprawiedliwy — potrzeba zbadać okoliczności, w jakich kształtowała się dusza pieśniarza, co wpłynęło na taki a nie inny bieg jego myśli, ukształtowało uczucie, kazało wierzyć w taki a taki ideał?... Bez wątpienia, eż wyraźniej i prawdziwiej przedstawiają się nam postacie poematów Goszczyńskiego, ale równie, w innych wprawdzie, lecz tak samo wyraźnych zarysach widział bohaterów swoich i Zaleski, a te odmienne sylwety dum i opowiadań Bohdanowych, nie powstały li tylko w wybujałej wyobraźni poety, lecz przemówiły do niego zakłęte w echu pieśni, podczas zebrań wieczornicowych, żywymi ustami ludu.

I dziwne! zdawałoby się, że suma wrażeń wcale inną być powinna; że usta, które podczas wieczornic opowiadały o czasach minionych, goryczą a żółcią zaprawne być powinny; zdawałoby się, że takby być musiało... a jednak — nie było tak; — i ot, ciekawy dla badacza przeszłości jest przyczynek, na który tak mało zwrócono uwagi. Czarno było, ale było i biało; jadem parskano nienawiści, ale kochano też trochę. Lata dziecięce Bohdana Zaleskiego — tę dziwną dla nas rozwiązują zagadkę.

We wszystkich podręcznikach i historyach literatury naszej mało kładą nacisku, a nawet wcale nie zwracają uwagi na „chutoriane“ wychowanie Zaleskiego. Znajdujemy tam mało znaczącą wzmiankę o tem, że dzieciak, z powodu słabowitości swojej, został oddany na lat parę pod opiekę starego znachora, i to obcowanie z przyrodą powróciło mu zdrowie. Na tem najczęściej kończy się wzmianka życiorysu, gdy tymczasem ta ukraińska przyroda, ta chata chłopska starego znachora, nietylko wzmogły fizycznie, lecz i duszę całą ukształtowały przyszłego pieśniarza naszego. Ten dwuletni pobyt w chałupie Zujowej, otocze-

nie, w jakim się znajdował, pieśczęty i pocałunki hoźych córek chutornika, wskazały mu taki nie inny punkt widzenia i niezatarte znamię na jego twórczości położyły. Już sam fakt, że z takim zaufaniem dziecko szlacheckie poruczone zostało chłopu — jest dla nas wskazówką, że między temi dwoma warstwami społeczeństwa ówczesnego nie zupełny rozbrat panował; że pomimo niezgód dziejowych, mordowań się wzajemnych, nie silna pomiędzy niemi była.

Opieka, jaką Zuj stary otoczył młodego Bohdana, to „całowanie w kolana“ przez dziecko szlacheckie syna kozaczego, ta trwoga pomiędzy mieszkańcami stepowego chutoru, gdy chłopię razu pewnego w step poszło i zabłąkawszy się, po dniach paru dopiero wróciło: mówią o stosunku iście rodzinnym, jaki był pomiędzy nimi. A Zuj widocznie nie zapo-



Włodzimierz Zagórski.

(Według rysunku z natury przez Adama B.).

mniał, z jakiej warstwy narodu wychowaniec jego pochodził; w opowieściach swoich, skazkach i dumach nie drażnił niczem uczuć polskiego dziecka; Ukraina, cuchnąca dziegiem a mordem dysząca, rozplynęła się w słonecznych barwach podań tęsknych; zaczarowany świat baśni uroczym, tajemniczym tchem swoim owiewał, zdumione dziwami tyłu, pachole. Zuj był uosobieniem: dla niego innej, niż rzeczywistość chciała, przeszłości; ziemia krzyżów i mogił macierzą sercu najbliższą, szczebiotanie i pieśczęty znachorówien, których złote warkocze całował i bawił się niemi — rozbudzały w nim uczucia tkliwe. Dziwnie piękny ten obraz miłości i przywiązania, na który patrzył własnymi oczyma: przenosił w przeszłość, w przyszłość rozsuwał — i oto w tej kąpieli sielanki stepowej krystalizowała się dusza dziecka — żył poezją, oddychał poezją, wierzył

w jej czar wiekuisty. A choć niedaleki Human krwawymi jeszcze śladami ścian swych patrzył, choć „dzień kodnieński“ na usta ludu kładł kłatwę i bladość strachu — to było chwilowe tylko nieporozumienie, zgrzyt ostry w harmonijnej a nieprzerwanej pieśni, zagojona blizna, przebolada rana, nie prawie nie znacząca skaza na pięknym posagu. Historia przemawiała przez usta Zuja, terażniejszość przez siostrzane pocałunki znachorówien, a sam już wymarzył przyszłość, która w niczem nie odbiegała od dwóch poprzednich obrazów.

Wiemy z codziennego doświadczenia, że najsilniej zapadają w duszę, najgłębiej wkorzeniają się w serce wszystkie wrażenia i uczucia doznane w latach dziecięcych. One pozostawiają stygmat na życie całe, one rzeźbią oblicze duszy, nadając jej piękno lub brzydotę, co już zależy od wpływów, jakie oddziaływały na nią. Rozwianie się tych uczuć przez chłodny oddech żelaznej piersi czasu, nie odbywa się bez bólu silnego, częstokroć bez rozpacz. A jednak, pomimo wszystkiego, pomimo nawet zmian pozornych, mających cechę rzeczywistości, istota duszy tej pozostaje zawsze jedna i ta sama. Oszukujemy świat, oszukujemy samego siebie — ale oto przychodzi chwila — i dawną twarz widzimy. Daremna praca!... Niemasz księgi trwałszymi literami zapisanej, jak dusza dziecka, na której mistrzowska ręka znamię swoje położyła, a tą dłonią mistrzowską były dla duszy lackiego pacholecia czary i baśni ziemi kozaczej, uroki nocy księżycowych w krajinie naddnieprskiej, rusałczane wizye w gajach zielonych, zakłęte w echa okrzyki drużyn rycerskich, Zuj i Zujówny, i owo umiłowanie, które ze wszystkich stron biegło ku niemu. Cóż więc dziwnego, że pierś poety promiennymi blaskami słońca przesycona została, że gdy życie późniejsze nie już piękniejszego dać mu nie mogło, on się upajał wonią tych wspomnień czarodziejskich, żył niemi, za najdrogocenniejszy skarb swój uważał i żalił się w czasach tułactwa: „Nigdyż serce stęsknione mar minionych nie prześni? zawszeż w jedną gdzieś stronę zaczarują me pieśni; jak świat długi, szeroki, z lutnią moją podróżną, zmieniam miejsca, widoki, ale zmieniam napróżno!“

Za te usposobienia i uczucia nie można poety przed trybunał pozywać i zarzucać mu winy, do których popelnienia nie poczuwał się i poczuwać się nie mógł. Grzechemby było efekciarstwo, gonienie za oryginalnością, ale od tego zadaleką była Muza Bohdana. Z całą prawdą i miłością „śpiewał zawždy w głos matki Ukrainy.“ Wierzył w wierność Kosińskich, w bohaterstwo bez zarzutu Mazepów, w odrodzenie się sławy zaporozkiej, w powtórzenie gromkiego: ura-ho! Konaszewiczów. Przez pryzmat tej miłości odczutej i wsiąkniętej w siebie w najpodatniejszych do wrażeń i wpływów latach dziecięcych, na świat cały i na ówczesne stosunki patrzył. Nie było rady „dla duszy kozaczej“ — połknął pieśń, jak mówił, i Ukrainą się zaraził. Zarazę tę niósł wszędzie z sobą, czy to do kochanki się zbliżał, czy boski żywot Maryi Panny chciał odтворzyć. Zmienia imię ukochanej swojej,

z Róży „Zorynę“ robi i, dziecię Warszawy, ubiera w fantastyczny strój rusalek ukraińskich, z mazowieckich piasków na stopy przynosi, każe jej iść w płas, o jakim nie słyszała nawet może. Lecz co nam do tego! Dał nam poemat precudownej piękności, lekki, jak mgła, barwny, jak tęcza, rozwiewny, jak sen. „Święć się, święć się wieku młody!...“ — woła upojony czarem wspomnień... a któż za nim tych słów nie powtórzy, nie utonie w mistycznym pięknie baśni. W „Przenajświętszej Rodzinie“ idziemy wraz z poetą do ziemi Judejskiej. Co zaś! zapach skoszonego siana pół ukraińskich aż tu zalata: do Ziemi Świętej — oczywiście mimo woli poety — Ukraina się przeniosła. Przepojony nią będąc, oddychał tylko jej technieniem i patrzył jej obrazami. To też, gdy w lat szeregu, z wypieszczonym snem swoim rozstać się musiał — uczył ból, który z piersi krzyk przekleństwa wyrzucił. „Zły duch jest we mnie!“ — wołał jakby w obłądnie rozpaczy; i pieśni swoje „świergotaniem nikczemnym“ nazywał. Od ostatecznego zwątpienia uratowała go wiara — lecz świat zaczął mu się „osmutniać“, a struny lutni teżyć.

Z krótkiego tego szkicu widzimy, jakie wpływy oddziaływały na twórczość poety i dlaczego rzeczywistość w innych mu się kolorach przedstawiała, niż była w rzeczy samej. Nieświadomie popełnił grzech przeciwko prawdzie, ale prawdą dla niego była nie nasza prawda. Był takim, jakim był, bo *nie mógł* być innym. Dzisiejsza krytyka nasza za ostro się obeszła z poetą doby minionej. A niech tam kozacy Bohdana za „salonowi“ będą, a niech tam „malinowa krew“ w ich żyłach płynie; nikt z piękności formy nie obędzie pieśni Bohdanowych, nikt nie wyrwie szerego, głębokiego uczucia, które jest i będzie zawsze wonnym kwiatem prawdziwej poezji. Oby to wspomnienie o pisarzu, w stuletnią rocznicę jego urodzin — zachęciło ogół czytający do powtórnego zwrócenia się ku niemu. Czysty, kryniczny źródło jego pieśni orzeźwi i odrodzi duszę niejedną, zarażoną newrozą czasów dzisiejszych — a zresztą coś są warte i wspomnienia w pieśni jego zakłete, te czasy tak inne, a pełne uroku, których technieniem ojcowie i dziadowie nasi oddychali.

Za złe mi nie weźmiecie łaskawe czytelniczki, że z pominięciem spraw bieżących, w rubryce kronikarskiej tak dużo poświęciłem miejsca pośmiertnemu wspomnieniu o Bohdanie Zaleskim. Sto lat upłynęło, gdy ten „słowik ukraiński“ oczy senne na świat Boży otworzył... Sto lat!...

Pomyślcie o tym odłamie czasu, a równe mojemu westchnienie posłyszę...

Rozkosz i ból, co pierś nam wzdyma,  
Mijają tak, jak szybkie łodzie;  
Chwil kilka drży ich ślad na wodzie,  
Uciekły już — i już ich niema!

Czyje to słowa?...

Ten, który je wyśpiewał, przed kilku dniami był jeszcze z nami — i oto znikł, jak ten szlak wodny, pozostawiony po przesunięciu się łódki. Wypowiedziały je usta doskonałego poety, o którym jeszcze ostatniego słowa krytyka nie wyrzekła. Przed dniami kilku zmarł w szpitalu Św. Ducha ś. p. Włodzimierz Zagórski.

Szpital! wspomnienie o nim dziwne w nas wzbudza uczucie. A jednak to przesąd... Szpital jest domem opiekuńczym dla pozbawionych opieki bliższej, dla chorych, wymagających czuwania ciągłego i troskliwości lekarskiej.

Zagórski umarł w szpitalu, do którego z własnej woli przed dwoma przeniósł się laty. Należał dawniej do bardzo bogatej rodziny, a jakkolwiek później zmieniły się stosunki materyalne, nie bieda kazała mu zakładać do tych drzwi szpitalnych, ale przekonanie, że nigdzie, jak w tych murach, wygody lepszej ani troskliwszej opieki nie znajdzie.

Nie czas i nie miejsce zdawać sprawozdanie z poetycznej twórczości ś. p. Włodzimierza. Kto zna prace nieboszczyka, ten wie, jak potężny był rozmach jego skrzydeł, jakie mistrzostwo formy, jakie bogactwo pomysłów. W kilku zaledwie słowach skreśliły tu bogaty w wypadki żywot Zagórskiego, bo na monografię szczegółową nie jedną, ani dwie szpalty potrzeboby było.

Zagórski urodził się w Galicyi w r. 1834-m w wsi Czechy, w powiecie Brodzkim. Po skończeniu gimnazjum Św. Anny w Krakowie, wstąpił do wojskowej szkoły inżynierów w Krems nad Dunajem. Rok 1859 był przełomowym w życiu naszego poety. Zahuczało coś na półwyspie Apenińskim — i oto rozległ się grzmot walki o swobodę i jedność Włoch. Hasło, rzucone przez Garibaldiego, obilo się o wrażliwą duszę pana Włodzimierza, i oto Legie włoskie, witają z radością przybysza. Życie obozowe, bitwy i gonitwy, żołnierskie piosnki, piękne niebo Italii — rozbudzają twórczość w młodym ochotniku i stanowią o jego losie pieśniarskim. W tej ziemi klasycznej wczytywał się w cudne tereyny Danta i migoczące blaskami tęczy rytmy Ariosta. Im to zawdzięcza nieskazitelną czystość formy, bogactwo kolorytu i pewien żar zmysłowy, właściwy ludom południa.

Po latach czterech znów odezwała się żyłka rycerska. Na innych tylko strunach grał teraz i uległ wpływowi czarodziejskiej pieśni Słowackiego.

Ulubionym jego przedmiotem była satyra. Drwił z głupich, chłostał nieuczciwych, ukrywając się pod pseudonimem *Chochlika*. Na tem polu nieocenione usługi oddał społeczeństwu swojemu.

Humor swój zawarł w wydanych w roku 1882-im dwóch tomach poezji, zatytułowanych: „Z teki Chochlika“ i „O zmiernych i świecie.“ Z owej to doby pochodzą i powieści: „Wilcze plemię“, „O własnych skrzydłach“ i „Szalone głowy.“ Klejnotem jednak jego poezji jest poemat w trzech pieśniach p. t.: „Król Salomon.“ Widzimy w nim koloryt wschodni, filozoficzny pesymizm, upajającą zmysłowość. Treści do poematu zaczerpnął z „Pieśni nad pieśniami.“ Sądźmy, że niedługo będziemy czekali na zbiorowe wydanie poetyckich dzieł Zagórskiego; taka kąpiel przyda się nerwowcom naszym, ozdrowi, orzeźwi, no — i oczyści trochę.

Na tych kilku słowach kończymy wzmiankę o ś. p. Zagórskim. Grudkę ziemi rodzinnej rzucamy na grób jego i wierzymy, że lekką mu będzie.

Kazimierz Gliński.

Julia Terpiłowska.

## PRYZYSTAŃ.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

Jur i Wielolecki byli tego samego zdania, i towarzystwo śpiesznie podążyło do lasku. Zaledwie tam wpadli, otworzyły się upusty niebieskie, i kryształowe strugi długie, rześiste popłynęły z szumem i pluskiem. Pod sklepieniem olchowej gęstwiny było prawie sucho, chwilami tylko gruba kropla, tocząc się z liścia na liść, spadała miękko na mchy i paprocie. Górą, w ciemnej massie liści, hucał przeciągły szmer ulewy, szumiały szamotane gałęzie, — dołem przelatywał tylko chłód wilgotny, przejmując falami dreszczów podścielisko z ziół leśnych.

Mewa oparła się w milczeniu o drzewo i nerwowym ruchem otulała się fałdami lekkiej sukienki.

— Pani zziębła? — zapytał Jur.

Skinęła głową, wstrząsnęła się, i popatrzyła na niego żalonym wzrokiem słabej istoty, domagającej się opieki.

— Dobrze, że mam przy sobie zapalki — rzekł Jur. — Uzbieram gałęzi i ogień rozniecę.

Odszedł w głąb lasku, a Klara rzekła do Malwy:

— Szkoda, że odesłaliście Marcina; poszedłby do Zagrody po wóz i konie.

Malwa uderzyła się w czoło.

— Ach, prawda! — zawołała; — ależ na to Marcin niepotrzebny!

Szybkim ruchem zarzuciła sobie fartuch na ramiona i zgarnęła w rękę fałdy spódnicy.

— Co pani chce zrobić? — zawołała z przestraszeniem Mewa. — To niemożliwe!

— To równie straszne — odparła, śmiejąc się Malwa, — jak wogóle zimna kąpiel wśród lata!

— Zygmuncie! zatrzymaj panią przemocą! — wołała Mewa.

— Pan Nabrzeski z pewnością nie widzi w tem nic niezwykłego, — rzekła Malwa.

— Zapewne — odrzekł Zygmunt, — ale byłoby niezwykłym, gdybym pani nie wyręczył.

— Dziękuję panu; pan nie może mię zastąpić w Zagrodzie, więc muszę pójść sama. Pani niech za mną nie woła — zwróciła się do Mewy, — bo Jur posłyszysz i uprze się, żeby mię zastąpić, a nie potrafi, bo ja sama tylko wiem, co trzeba państwu tu przysłać, żebyście się dobrze okryli.

— Jaby pan z największą przyjemnością towarzyszył, — bąknął Wielolecki, ale...

— Ale pan wie, że to niepotrzebne — przerwała, — i że nie pozwoliłabym na to. Do widzenia!

Wybiegła z olszyny na łąkę i brnęła zwało przez przemokłe trawy, a potem rozmiekkła miedzą przez łąk żyta. Strumienie wody były ją po twarzy, spływały po włosach i ramionach, ona strzepywała się tylko, jak zmokły ptak i biegła dalej. Wtem zagrzmiąło silniej, deszcz sypnął rześistszy, dziewczyna

obejrzała się na chmurę — i nagle spostrzegła idącego za sobą Zygmunta.

— A pan co tu robi? — zawołała zdziwiona.

— To samo, co pani — odrzekł, śmiejąc się, — brnę i moknę.

— Ależ ja to robię z potrzeby, a pan chyba dla przyjemności!

— Przypuszęmy.

— Bo jeżeli dla opieki nademną, to bardzo pięknie dziękuję i niech pan co prędzej wraca do lasku.

— Ani myślę!

— Ależ pan mi zupełnie niepotrzebny!

— Teraz ja bardzo pięknie dziękuję!

Malwa rozśmiała się, i mówiła, idąc dalej śpiesznie:

— Przepraszam pana; chciałam przez to powiedzieć, że pan napróżno zmęczy się i zmoknie, bo mnie przecież towarzystwo pana nie ujmie ani zmęczenia, ani przemoknięcia.

— Ale może towarzystwo jakiegokolwiek żywej duszy ujmie pani trochę nieprzyjemnego wrażenia.

— Jakiego?

— Samej jednej w pustem polu wśród wichru i ulewy nie może być bardzo miło, nawet kiedy się jest panią energiczną i samodzielną, a w dodatku zwolenniczką systemu Kneippa.

— Nie trzeba żadnych systemów, żeby lubić wodę i powietrze.

— W formie ulewy i wichru?

— Czyż pan nie wie, że kobiety głównie dlatego boją się deszczu i wiatru, że im toaletę psuje i fryzurę rozrzuca? A ja przecież nie potrzebuję bać się ani o strój, ani o uczesanie... Ach! jakże tu wody przybyło!

Zatrzymała się nad rowem, zamienionym w szeroką strugę.

— Teraz niech pan już wraca koniecznie! — rzekła stanowczo.

— Nie wrócę — odrzekł równie stanowczo, — aż gdy otworzę przed panią drzwi jej mieszkania, na to daję pani słowo!

— Ależ ja tu muszę zdjąć buciki! — zawołała rozpaczliwie.

— Nie wątpi pani zapewne — rzekł seryo, — że patrzeć nie będę?

— Nie wątpię! — odpowiedziała uspokojona. — Niech się pan odwróci.

Odwrócił się i stał w milczeniu, aż Malwa zawołała z drugiego brzegu:

— Teraz na pana kolej, ale uprzedzam, że długie buty nie wiele pomogą, bo wody za kolana!

On nic nie mówiąc, rozpędził się i śmiałym skokiem rów przesadził.

— Doskonale! — zawołała. — Pan sportsman, czy gimnastyk?

— Gospodarz i myśliwy — odpowiedział, — skutek ten sam, choć nazwa pospolitsza... Narazicie mamy drogę! Tu już można iść obok, więc proszę się oprzeć, bo pani z pewnością zmęczona.

Podał jej rękę i poszli razem polną drożyną, po której z głośnym szmerem wyla się wązkie wstążki wody. Malwa brodziła w nich śmiało bosymi nóżkami, migającymi wśród bryzgających kropel, jak biało-różowe muszle, i śmiejąc się walczyła z wiatrem, który jej długie, ciemno-złote warkocze odwijał z głowy i smagał niemi jej towarzysza. A Zy-

gmunt, patrząc na nią, myślał o Mewie. Co by też ona robiła w podobnym położeniu?... Musiałby naturalnie nieść ją na rękę, otulać i uspokajać, ona zaś rozwinęłaby przed nim cały powab swojej słabości niewieściej...

— Moja narzeczona rozplynęłaby się tu, jak cukierek — rzekł z uśmiechem.

— Ach, tak! — odpowiedziała, — takie delikatne kwiatki nie mogą wystawiać się na burzę.

Zygmunt mimowolnie zauważył w duchu, że milej podczas burzy mieć obok siebie jakiś bujny kwiat pełen siły, którego wichur nie zmoże, niż chuchać na cieplarnianą roślinkę.

— Dopłynęliśmy do przystani! — zawołała Malwa wesoło, stając przed wrotami Zagrody.

Zygmunt otworzył wrota i rzekł z ukłonem:

— Teraz może mię pani wyprawić z powrotem do olszyny.

— Błuzni pan gościnnym bogom mojego ogniska! — zawołała żywo. — Marcinowa! — zwróciła się do wybiegającej z chaty kobiety, — daj panu do przebrania się nowe odzienie panicza!

Wskazała Zygmuntowi drzwi bocznej izdebki.

— Tutaj — rzekła — pan się powierzy opiece Marcinowej, a potem proszę przyjść ogrzać się do dużej izby.

Po kilku minutach Zygmunt, odziany w grubą koszulę i świtkę z domowej wełnianki, otworzył drzwi od izby.

W ciemnej czeluści pieca suche polana rozpałały się z wesołym trzaskiem, przed niemi, na rozżarzonych węglach, szumiał kociołek blaszany, a Malwa, świeżo i czysto przyodziana, z rozczesanymi mokremi włosami, dmuchała na żar, trzymając w rękę fajansowy imbryk do herbaty.

— Jak tu ciepło i miło! — rzekł Zygmunt, siadając na ławie, naprzeciw ogniska.

— Prawda? — odpowiedziała z prostotą. — Zaraz dam panu gorącej herbaty, a tymczasem Marcin zaprzęże. Marcinowa! — zawołała przeze drzwi — włożysz do woza kocyk, dwa rątnuchy i popielatą chustkę, a kilimkiem nakryjesz!

Poszła do alkierza, wyniosła szmat bielonego płótna, rozesała na stole, ustawiła na nim talerze z masłem, serem i chlebem, a potem podała gościowi biały gliniany kubek z parującą herbatą.

— A o sobie pani nie pomyśli? — zapytał.

— Owszem, mam świetny apetyt; a pan?

— Jak wilk! sam widok takiego pulchnego chleba i złotego masła drażni podniebienie.

Gospościa krajała cienko ciemne skibki, smarowała je masłem i kładła przed gościem, który zajadał smaczno, spoglądając z przyjemnością na uwijające się przed nim troskliwie rączki, zgrabne, choć opalone.

Wtem zaturkotało przed wrotami, a Malwa rzekła:

— Marcin gotów! Po drodze każe mu pan wstąpić na plebanie po parasol kanonika, bo to jest taki namiot z parusyny, który może okryć całą parafię.

— Ja? To pani i mnie wyprawia?

— Nie wyprawiam, ale i pan pewnie ze chce jechać.

— Bardzo mi tu dobrze, i nie ruszę się z miejsca, chyba mię pani wypędzi.

— Ale tam nie będą wiedzieć, gdzie się pan obraca?

— Marcin im powie, że czekam na nich tutaj i wstąpią po mnie, naturalnie, jeżeli pani pozwoli.

— Ależ bardzo proszę! To prawda; po co pan ma bez potrzeby drugi raz w taki czas podróżować?

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Z TEKI POŚMIERTNEJ.



### List do p. K. R.

Mamuńciu droga, już tylko dla Ciebie Wierszami pisać tam do kraju mogę; Niegdyś jam latał, jak ptaszek po niebie, Widziałem dalej, jak na księżyc drogę, Ale te czasy, ta wierszy epoka, Które jak słońce w szwajcarskiej dolinie Skrami sypały się na mnie z wysoka, W nocy udręczeń zaprzepadły ninie. A kiedy piórko wezmę moje złote, To mi i niechęć węzłem serce ścisła; Dawniej do swoich wciąż czulem tęsknotę I chęć spoczynku u chaty ogniska, Lecz dziś już wszystko, co święte, przepadło, Gdy pieśń wyśmiana, a podłóż laur bierze; Para powlokła duszy mej zwierciadło, I piór niebieskich na nim nie dostrzeże... Tylko do Ciebie, Mamuńciu, gdy piszę, To się nastroję na dawną pogodę, I udam serce choć na chwilę młode, I siłą woli złe morza uciszę; I Tobie samej, ale tylko Tobie, Powiem, jak żyję i powiem, co robię. Rozkoszy nie znam, nie znałem jej wcale, Bo jeśli kiedy zapragnął jej czaru, To potem takie przecierpiałem żale, I taką uczułem gorycz jej nektaru, I wstręt, żem sobie zaciężył na ziemi I ukrywałem oczy w dłonie obie, Pókąd mnie duchy skrzydły łaskawemi W świat poważniejszy nie zabrały sobie, Nie oczyściły zaświatowym chłodem, Nie przeraziły wieczności bezbrzeżem, I nie sprawiły, że się stałem młodym I idealnym, i czułym, i świeżym, A puhar złoty u nóg mych rozbity Nie zwracał oczu moich, jak kwiat zgnity, I gór się tylko wciąż srebrzyły szczyty I wieczne słońca, i mlecznych gwiazd pyły.

Nie znam, co podłóż, bom w niej nie utonął, Anioł nademną nieustannie płonął I strzegł mnie hańby, i on to zapewne, Żeby mi życia wyprostować drogę, Zaziemską sprosił w mą izbę królownę, Której się wdziękom napatrzeć nie mogę. Piękność ta z nigdy niewiednącą skronią Imiona zmienia, nie zmieniając treści, I raz poezją zwie się, raz harmonią, To kształtem rzeźby ludzkie oko pieści, Ale ta jedna i ta sama pani — I ona codzień w samsa mi przypada, Wychodzi rzeźbą, palce do stęp wklada, A ręką wodząc po ciemnej otchłani, Na nici piękna biedną duszę trzyma, Tak, że nie spojrzy w ciemny świat załaty I znaki Boże kreśli przed oczyma I wciąż górniesze zapowiada światy... I stopy dziecka wyżej hańby niesie...

A teraz powiem, Mamuńciu, co robię: Oto Anioła, co usiadł na grobie, Grota, świątynia, palmy gdzieś na kresie; U wnijścia grotki zaś trzy Marye stoja,

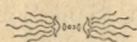
Maście przyniosły i dzierżą te puszki,  
I niby cofać lekliwie chcą nóżki,  
Lecz on tak piękny, jak harfa, a szaty  
Poukładają się w struny i w kwiaty,  
I tak pogodny, że ich nie przeleka.  
Cisza wioskowa w krąg i figa pęka,  
A słowo wieczne brzmi przed temi trzema:

„Niewiasty! był ci tu, lecz go już niema!...“

Ostatnia rzeźba, com tylko wstał od niej,  
Żeby do Maryi stóp uchylić skroni,  
I lepiej mi tak, i jaśniej, pogodniej;  
Malańka praca tak, jak wielkość dłoni,  
Ale dla duszy, co nie szuka gmachów  
Lecz myśli czystej, nie będzie daremną;  
W niej znajdzie wiosnę wieczystych zapachów,  
I gwiazdy znajdzie na długą noc ciemną.  
O wiaro! prawdo! o twórczości Boża,  
Świeć mi na falach nieznanego morza!

*Teofil Lenartowicz.*

Florencja, 15-go marca 1872-go r.



Czesław Jankowski.

## Typy niewieście w literaturze XIX w.



III.

**Corinne.**

(1806).

„La lune se levait à l'horizon; mais les derniers rayons du jour rendaient encore sa lumière très-pâle. Du haut de la petite colline que s'avance dans la mer et forme le cap de Misène, on découvrait parfaitement de Vésuve, le golfe de Naples, les îles dont il est parsemé et la campagne qui s'étend depuis Naples jusqu'à Gaëte; la contrée de l'univers od les volcans, l'histoire et la poésie ont laissé le plus de trans... Elle acorda sa lyre...“

„Corinne au l'Italie,“ XIII, 4.

Lord Oswald Nelvil i przyjaciel jego hrabia d'Erfeuil przybywają do Włoch. Obaj młodzi, obaj znudzeni, a niepewni czy nawet uda im się znaleźć jaką taką rozrywkę w krainie, którą lekceważą. Czemże być mogą jakieś tam Włochy w porównaniu do Anglii — do Francji! Trafiają w Rzymie właśnie na dziwną uroczystość. Naród wie dzie tryumfalnie na Kapitol młodą poetkę, aby ją tam uwieńczyć. Kto ona, z kąd się wzięła, wpytać trudno; nikt nie tylko nie o tem nie wie, ale i nie troszczy się; dość, że imię ma Korynna, precudowne układa wiersze, a pięknie jeszcze improwizuje, akompaniując sobie na lirze. Piękna sama, majestatyczna, a ze szlachetną prostotą przyjmuje hołdy jej składane.

Angielskiego lorda, przywykłego do angielskich zwyczajów, obyczajów i zapatrywań, mającego dla nich tradycyjną cześć i zachwyt, skandalizuje takie zachowanie się kobiety. Takie publiczne występy! takie szukanie hałaśliwych, ulicznych owacy! Ale — poznaje ją, ulega jej urokowi. Lord Oswald kocha Korynnę; ona odplaca mu wzajemnością. Czy ma lord Oswald uczynić ją swoją żoną? Co powiedzą na to w Anglii, co powie rodzina, co powiedzą sfery towarzyskie? Nie jest to przecie owa potulna, troskliwa istota, mająca

pojęcie jedynie o obowiązkach i uczuciach swoich, jedna z tych, jakaby tolerowano tam na stanowisku jego żony. I nie wie z kąd ona, kto ona taka. Pyta — wymijające daje mu odpowiedzi. Oczywiście przyznać się nie chce do pochodzenia swego i chwilę wyznania odwleka, bo wie, że otworzy między nim a sobą przepaść nieprzebytą.

Tak, Korynna chwilę tę odwleka i aby przedłużyć chwilę obcowania z ukochanym, proponuje mu być przewodniczką po Włoszech, po Włoszech wspomnień historycznych, arcydzieł sztuki, precudownych krajobrazów, po malowniczych Włoszech, niepodobnych do żadnego innego kraju, po Włoszech, których Oswald nie zna, które lekceważy, do których przybył z uprzedzeniami tyłu. Tak się też i staje.

Rozpoczyna się podróż po ziemi laurów i Madonn, posągów i ruin, pstrych tłumów, obozujących pod lazurów niebem i ciepłych nocy księżycowych, rozspiewanych graniami mandolin, nucających pieśń miłosną pod cyprysami. Naprzemian z powagą niemal uroczystą, z wielkim blaskiem i wielką logiką argumentacji, to znowu z przedziwną słodyczą i gorącą, usidlającą dyalektyką niewieścią wtajemnicza Korynna, — powiedzmy: pani de Staël — Oswalda w piękno i urok tej ziemi, co nie podbija na razie, *cant'em* przepojonego nawskróś Anglika, ale silną niewieścią ręką roztwarta na oścież przed światem, stanie się odtąd ziemią obiecaną artystów wszystkich i kochanków...

— Oto — powiada doń, — wy tam na mglistej wyspie waszej, skostniałej w łupinie przesądnych tradycji, mniemacie, że w waszem tylko *home* przechowały się w należytym świętości i doskonałości cnota, poczucie obowiązku, szczęście. Patrz! pod tem jasnym niebem, wśród róż tych wiecznie kwitnących, wśród tyłu ludzi, nie mających *home'u*, bo dachem dla nich nieboskłon, a ogniskiem rodzinnem pierwsza lepsza nisza zwalisk przepysznych, w słońcu cała, na ziemi tej, innej, niż wasza, wśród ludu tego, innego, niż wasz, cnota tak samo istnieć jest zdolną, i obowiązek, i miłość, i szczęście. Tylko, że inne to wszystko ma kształty i objawia się inaczej, na inny sposób ludzie są cnotliwi, inaczej kochają, inaczej są szczęśliwi. Nie jedna Anglia tylko na świecie Bożym! Poznaj ziemie inne i innych ludzi — a oddasz im sprawiedliwość, pokochasz.

Nie imponują mi cnoty i tak zwana „czystość“ waszych ognisk rodzinnych, dookoła których roztacza się nie ciepło ale chłód, do których dostępu niema poryw szczerzy serca, ale pod które przyszła obluda i ulegalizowany nierząd. Przypomnij sobie słowa Chrystusa wyrzeczone nad Magdaleną: „Przebaczonem jej będzie wiele, albowiem wiele ukochała.“ Ja ci powiem: słowa takie mogły urodzić się tylko pod takim jasnym, pięknym niebem, jakie tu mamy nad sobą. Nie gorsz się wystawnością, muzealnością, przepychem tych świątyn. Wasze protestanckie kościoły puste, chłodne, surowe. Bo religia wasza to — obowiązek, a religia nasza to — miłość. Religia nasza, religia Włoch odrodzenia, to liberalizmu pełna religia. Artyści, rozwijając z pełną swobodą właściwości ducha swego w traktowaniu motywów re-

ligijnych, rozpowili z pierwotnego ascetyzmu katolicyzm, a on, dzięki stanowisku swemu, zajętemu wobec pogańskich tradycji oraz wystąpienia humanistów, odegrał w dziejach ludzkości rolę nieśmiertelną, jaśniejącą wieczną chwałą. Czy wyobrażasz sobie pod jaką bądź waszą świątynią położony nadpis taki, jak oto tu, nad portykiem kościoła św. Marka? Mistrze, którzy ozdabiali wnętrza kościoła, proszą przybysza, aby w skupieniu ducha przyglądał się dziełom ich, dokonany ku chwale Bożej. Czy protestantyzm stworzył malarstwo takie, taką architekturę? Wymienisz mi jednego chyba Rembrandta, a kościoły wasze budowane w stylu katolickich katedr i kaplic. Wyobraź sobie teraz, że wiara uleciała z gmachów tych Bożych w ślad za fanatyzmem i inkwizycją, które dawno już z nich pozniakały. Pozostaną jeszcze dla ludzkości, setki, tysiące posągów, obrazów, gmachów, które katolicyzm rozsiał po tej ziemi; pozostaną freski Michała Anioła, Madonna Sykstyńska, Katedra św. Piotra, tum Medjolański.

Dzieła sztuki! Nie mierz ich skalą jakąś etyczną, lub religijną, lub literacką. Z trzech stanowisk patrzy człowiek na rzeczy: ze stanowiska praktycznego, teoretycznego i estetycznego. Biegły leśnik ocenia las — ile wart; to praktyczne stanowisko. Na stanowisku teoretycznym stoi wobec lasu botanik. Z estetycznego stanowiska widzisz tylko, jak las wygląda, wobec dzieł sztuki stanowisko to wystarcza. Dopiero z tego punktu widzenia ocenisz je, jak należy, zrozumiesz, odczujesz ich piękno.“

I tak dalej, uczy, kształci, rozwija, rozgrzewa Oswalda dziwna ta kobieta z męzkim umysłem a sercem niewieściem. Usiłuje ona i w niego i w d'Erfeuil'a, zasklepionego, w szowinistycznej admiracji dla „geniuszu francuskiego“, z epoki Ludwika XIV, tchnąć ducha im obcego, niemieckiego romantyzmu, oraz tego, co przyjąć ma później, znacznie później, zapatrywania się na dzieło sztuki z zasady *l'art pour l'art*. Ona sama nie formułuje jeszcze zasady tej, nie przyobleka jej w żadne, obieg dziś mające, aksjomaty, ale oczyma Korynny, oczyma pani Staël, świat spojrział już na sztukę i tak na nią patrzeć potem kiedyś będzie...

Ale Oswald, w którym pokutuje już *snobizm*, tak w następstwie świetnie analizowany przez Thackeray'a, po chwilowym olśnieniu i porwaniu się za przewodnikiem swoim w świat wolny od ucisku, wywieranego przez tłum na jednostkę, w świat, gdzie pierś człowiecza swobodnie oddycha a moc jego indywidualna krzepnąć może — nie jest w stanie wyrwać się z zaczarowanego koła. Okazuje się, iż Korynna pochodzi z najzupełniej „dobrej“ rodziny, że ojciec jej był Anglikiem, matka Włoszką. Ona sama za ojczyznę wybrała sobie Włochy, a za zawód: życie swobodne od wszelkich więzów, ale bez najmniejszej skazy moralnej, zaś poświęcone poezji. Cóż jej zarzucić? Chyba to jedynie, iż niepodobna do młodszej siostry swojej, Lucile, zostawionej w Anglii. Lucile nie wystrzeliła po nad poziom swego otoczenia, nie zna greckiego języka, nie improwizuje publicznie wśród włoskich krajobrazów, nie odbywa na Kapitol tryumfalnych pochodów, nie nosi barwnego szala indyjskiego, wplecionego w bujne czarne włosy, ani nie-

bieskiego płaszcza, drapującego się malowniczo na ramionach...

Oswald zna ową Lucilę. Podobała mu się, ale zapomniał o niej przy Korynnie. Teraz jakby w zachwyceniu wędruje z przewodniczką swoją po Rzymie, Neapolu, Wenecyi. Korynna sądzi, że potęga jej ducha, potęga jej uczucia, że wreszcie sława, która ją otacza, przywiąza do niej na zawsze lorda Nelvila. O nie! Czar prysnął, porzuca ją i z Wenecyi odjeżdża do Anglii, gdzie—żeni się z Lucilą. Korynna podąża za nim do Anglii i tam umiera, podczas gdy Oswald rozpacza — po nie-wczasie.

Bohaterowie romansów z początku XIX wieku mieli zawsze na dworze swoim filozofa, który nad każdą przygodą obficie rezonował; dziś wloką za sobą święte pasorzytów, którzy nie rezonują już wprawdzie o cnocie lub pięknie, ale są również potrzebni, jak dziura w moście. Dawniejsze wywody zastąpiły dziś niezliczone, a drobiazgowo opisane rzeczy nie mających z akcją wspólnego, oraz pejzażów, na które bohater i bohaterka wcale nawet nie patrzą. Usunęmy z „Corinne’y“ wszystkie roztrzęsania i rezonowania, pozostanie jeszcze akcja niepozabawiona tragicznej osnowy, a przepleciona mnogimi epizodami.

A jednak mało która postać powieściowa tak pozbawiona plastyczności, jak Korynna sama. Działa, przebiera się w stroje nader efektowne, pozuje w otoczeniu, podnosząc jej sylwetę—ale żaden obraz nie powstanie przed oczyma naszymi, nie wpije się nam w oczy. Nie widzimy Korynny pani Staël; widzimy Korynnę z obrazu Gerarda \*).

Ale czujemy ją. To, czego naucza, o czem mówi, czem zachwyca się lub oburza, jest jakby substancją, z której postać ta wytwarza się przed wyobraźnią naszą. Tworzy ją niejako przed oczyma duszy naszej to piękno, w które ona Oswalda wtajemnicza, tworzy ją blask wychwalanych przez nią Włoch, tworzy ją wzniosłość i szlachetność, promieniejąca z jej słów. To, co z Korynny, promienieje, przebóstwia jej efektowne pozy, jej turbanowy szal indyjski, jej patetyczne gesta, jej chłodne, retoryczne improwizacje, jej lirę... Pomimo niemodnego już dziś stroju i stylu swego — kobieta to tak niezmiernie *bliska* nam, bliska duchem, pojęciami, a tak serdeczna, tak rozumna, tak sympatyczna. Zapominamy, jak wyglądała—pamiętamy tylko, jaką miała duszę, jakie serce. Gdyby pani de Staël większą była artystką, gdyby Korynnę, jako osobistość, potrafiła uczynić plastyczną, żywą, wrażliwą się w pamięć, narzucającą się wyobraźni—kto wie, czy postać taka nie czyniłaby dziś ujmę rzeczywistym skarbom myśli i uczucia, złożo-

\*) Gérard w głośnym obrazie swoim „Corinne au cap Misène,“ odtworzył znakomicie *charakter i nastrój* bohaterki pani de Staël. Obraz wymalowany został w roku 1819-ym na zamówienie księcia Alberta Pruskiego, który ofarował go przyjaciółce pani de Staël, pani Récamier. Pani Récamier zapisała niepospolite dzieło malarskie galerii obrazów, mieszczącej się w muzeum jej rodzinnego miasta i od r. 1849-go „Corinna“ Gérarda znajduje się w Lyonie. Na obrazie, nawprost Korynny stoi lord Oswald Nelvil w płaszczu, z kapeluszem w ręku—przypominający bohaterów Byrona. Przy nim greckie pachole; za nim książę Castel-Forte; przy Korynnie dwie młode Angielki. W głębi na dolinie wieśniacy tworzą taneczny korowód; na skraju widnokregu dymiący Wezuwiusz.

nym w tę niepowszednią powieść; bruździła-by może rozkoszowaniu się dziś jeszcze niemi. Taką, jak jest, Korynna sama natomiast błędnie—jakby usuwając się z przed kart, które słusznie i wyłącznie do nieśmiertelności mają prawo.

Przestarzały styl „Corinne’y,“ powieściopisarska jej forma, nastrój podniosły i polityczny, przeplatanie wypadków długimi dysertacyjami; przestarzały dlatego, że niegdyś młodemi były. Całe jedno pokolenie, wrażliwe na idee szlachetne, silnie uczuciowe, romantyczne, pochłaniało powieść pani de Staël; „Corinna“ była dlań biblią miłości i idealizmu. Długo jeszcze potem udzielały się ludziom noszone przez nią stroje, oraz jej sposób mówienia. Potem moda tych strojów minęła i wyrażanie się *à la Corinne* poczęto zwać emfazą, przesadą, nienaturalnością. Ale naturalnemi pozostały uczucia opisane w książce, żywotnemi poruszone w niej idee, żywotną walką, której dała hasło. Wysoki nastrój, szlachetność i odwaga Korynny, dopóki dusza ludzka nie zmarnieje, budzić będą zawsze podziw, współczucie i szacunek. I nie tylko muzealny jakiś pietyzm otaczać powinien pierwszy wielki a dostojny ideał niewieści dziewiętnastego wieku. Ta szlachetna i bogata, odważna i szczerą duszą niewieścia, odmalowana nam przez panią de Staël, na tle wiecznie pięknych Włoch, nie daj Boże, aby moc swoją utracić miała nad duszami ludzi, aby przestała kiedy udzielać im zapału swego, aby niezrozumiała i obojętną dla nich się stała, aby doskonalenie się duchowe, ku któremu rwała się sama i podnieść usiłowała drugich, miało kiedyś tak „wyjść z mody“ wśród świata, jak draperye jej płaszcza i zwroty jej stylu!...



Ferdynand Hoëssick.



## NAD WODĄ WIELKĄ I CZYSTĄ...

VEVEY.



(Ciąg dalszy).

Chcąc dzisiaj z Vevey dostać się łądem do Montreux, nie potrzeba, jak za czasów Mickiewicza, drogi tej przebywać piechotą lub na mułach; tramwaj elektryczny, łączący Vevey z Chillon, przebiega przestrzeń tę w ciągu 20 minut niespełna, a komunikacja ta jest o wiele przyjemniejszą, aniżeli koleją żelazną, droga bowiem, którą mknie tramwaj elektryczny, jest niezmiernie malowniczą i oryginalną. Wyjechawszy po za obręb Vevey, jedzie się wśród samych winnic, drogą pomiędzy dwoma kamiennymi murami, z po za których po jednej i po drugiej stronie widać same murowane kwadratowe ogrodzenia, wypełnione zielenią pnących się po drewnianych tykach i żółtawym lub czarnym owocem bachusowym obwieszonych krzewów winnych. Na lewo, tu i ówdzie na stoku góry bielą się pałacyki lub domki wiejskie, na prawo zaś, w dole, niebieszczy się tafła jeziora, okolona

najcudowniejszym pejzażem górskim, jaki wymarzyć można. Po kwadransie takiej drogi, wśród której tramwaj zatrzymuje się kilkakrotnie (bo co chwila ktoś wsiada lub wysiada), winnice zaczynają się przeredzać, a przybiera coraz więcej domów, aż wreszcie tramwaj wjeżdża w ulicę pomiędzy dwoma szeregami domów, widzi się hotele, sklepy, trotuary, ale wszystko to nosi więcej wiejski, aniżeli miejski charakter. Po chwili tramwaj przystaje, a konduktor woła donośnym głosem: Clarens!

Wysiadłszy i rozejrzawszy się dookoła, przedewszystkiem doznaje się jednego wrażenia: że bardzo się tu zmieniło od czasów Rousseau, gdy tu — w wyobraźni autora „Nowej Hololizy“ — rozgrywały się sceny pomiędzy Julią a młodym Saint-Preux. Wtedy była to wioska, dziś jest to miasto. Jeszcze w r. 1816, gdy tu w hotelu Sans-Souci mieszkał lord Byron — o czem świadczy specjalna tablica w murze ogrodu hotelowego — Clarens musiało czynić bardziej sielskie wrażenie, i dlatego to w „Childe Haroldzie“ znalazła się taka strofa o tej poetycznej wiosce:

Nie przez wymysł poety Rousseau tę krainę  
Zaludnił uczuciami kochanków tkliwemi;  
Bo wiedział, że to miejsce miłość na dziedzinie  
Oddała oczyszczonym duszom. Na tej ziemi  
Kupido rozkochany zdjął przepaskę Pysze  
I miłością uświęcił rozkoszne zacisze.

O samotne, czarowne, o cudne siedlisko!  
Ja w tobie i westchnienie, i głos jakiś słyszę:  
To Alpów tron wyniosły, to Ronu łożysko!

Słodki Clarens, kolebko najwyższej miłości!  
Twe powietrze jest myśli namiętnej oddechem,  
Z niej drzewa wyrastają i śnieżne białości  
Gór wysokich, ubrane miłosnym uśmiechem,  
Blask zachodni w różowy kolor je oplata  
I promienie rozkosznie przy nich zasypiają:  
Na skałach, na urwiskach miłość tam ulata,  
Zda się szukać schronienia od pocisków świata,  
Co bólem i szyderstwem duszę uderzają.

O Clarens! stóp niebiańskich ślady na twem łonie!

Za stopnie biorąc góry zgubione w błękanie,  
Tu miłość nieśmiertelna zasiała na tronie  
I rozlewa dokoła światło swe i życie.

Nie na samych gór szczytach i w ciemnych grot cizy.

Nietylko w drzew zieleni ona przemieszkiwa:

W kwiatach błyszczą jej oczy, jej technienie tam dyszy,

Łagodne technienie wiosny, którego moc tkliwa

Naprawia to, co niszczy burza przeraźliwa.

Położone nad samem jeziorem, u podnóża góry, pełnej lesistych zacisz, poetycznych ścieżek pomiędzy winnicami, malowniczych parowów, szmeru potoków, szczebiotu ptasząt, Clarens, według Byrona, jest stworzone na miejsce dla kochanków. Wszystko tu służy miłości:

i te smutne sosny,

Co górę oceniają, i te w swoim biegu

Potoki, co jej luczają śpiew dziko radosny

I winne latorośle, co gną się do brzegu.

Tutaj miłość czuje się królową wszechwładną:

wody jej spotykają falą uniozoną

I czezą ją, i całują stopę jej pieszczoną.

Tutaj wszystko jest na usługi miłości, tutaj:

las nowy, gdzie były wpróżd odwieczne drzewa  
Z pnem starym, ale z liściem, co młodo powiewa,  
Zaprasza ją w samotność swoją zaludnioną,  
W samotność zaludnioną pszczołami, ptakami,  
Co powabne swym kształtem, ubrane w świecidla,  
Wielbią miłość miłszemi, niż słowa, pieśniami  
I niewinnie wesołe rozpinają skrzydła,  
Wiodąc życie trosk próżne. Szemranie strumieni,

Z gór wysokich kaskada, co z szumem się pieni,  
Szelest drżących galazek, pączki, co swą wonią  
Najrozkoszniejsze myśli o pięknościach ronią;  
Wszystko się dla miłości miłością promieni.

Ten, co nigdy nie kochał, tu chce kochać prędzej,  
Duchem serce swe natchnąć... Kto już kochał kiedy  
W tem miejscu-by zapragnął kochać jeszcze więcej.  
Bo to święty przybytek, gdzie od ludzkiej biedy  
I od świata daleko miłość zamieszkiwa...

Ten „święty przybytek“ był też świadkiem  
miłosnych upojeń Byrona i miss Jane Clair-  
mont, i można być pewnym, że pod wpły-  
wem tych upojeń miłosnych powstały prze-  
piękne strofy „Childe Harolda,“ wysławiające  
Clarens, jako święty przybytek miłości, i że  
tutaj, dzięki pięknej miss Clairmont, utwier-  
dził się Byron w przekonaniu, iż miłość:

wzbija się duchem swoim czystym  
W nieskończoną szczęśliwość, która dorównywa  
Nieśmiertelnym światłościom w kraju wiekuistym.

Do osobliwości Clarens, a zarazem do jego  
najsławniejszych piękności, należy położony  
na wysokim wzgórzu „Château de Crêtes,“  
który niejednokrotnie gościł w swych murach  
Gambette, a z którego ogrodów i tarasów roz-  
tacza się niezrównany widok na jezioro i na  
całe pasmo gór dookoła, zwłaszcza na opalowe  
lodowce i śniegi majestatycznego Dent du Mi-  
di, który ztąd wygląda najokazalej, dominu-  
jąc nad całym krajobrazem. Ztąd też, z ta-  
rasu tego zameczku, widzi się, jak na dłoni,  
całą dolinę Rodanu. Jeszcze lepiej widać sa-  
mo ujście Rodanu, który, nieopodal Ville-  
neuve wpada do jeziora i srebrną swą wstę-  
gę rozpuszcza w jego błękicie... Tutaj też,  
w pysznych ogrodach, przynależnych do „Châ-  
teau des Crêtes,“ znajduje się słynny „gaj Ju-  
lii,“ *le bosquet de Julie*, gaj starych kasztanów,  
które być może, iż pamiętają jeszcze i Rous-  
seau'a. Co pewna, że to ustronie nieraz bywa-  
ło miejscem samotnych przechadzek autora  
„Nowej Heloizy“ z nadobną panią d'Houde-

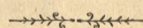
tôt, która — jak o tem nie brak szczegółów  
w autobiograficznych „Wyznaniach“ Rous-  
seau'a—kazała mu tu przychodzić każdego ra-  
na... po pocałunek. Nieopodal „gaju Julii,“  
o niecały kwadrans drogi cienistą ścieżką,  
wznosi się na pokrytym winnicami wzgórku  
starożytny zamek „Château de Châtelard,“  
piękny z daleka, a tembardziej tajemniczy,  
że niedostępny dla cudzoziemców, coby go  
pragnęli zwiedzić wewnątrz. Inaczej ma się  
rzecz z małym cmentarzem, położonym na  
dość stromem zboczu góry ponad samem Cla-  
rens. Choć wszyscy mogą go zwiedzać, za-  
chodzi tu mało kto; a tymczasem jest to bez-  
warunkowo jeden z najromantyczniejszych  
cmentarzy na świecie. Groby nie odznaczają  
się niczem nadzwyczajnem, a ozdobniejszych  
da się naliczyć kilka zaledwie, ale co za wi-  
dok na jezioro i góry!... Oczom wierzyć się  
nie chce!... Zdając sprawę z widzianych tu  
piękności, które oglądał „z *Heloizą* w rękę,“  
powiada Byron w jednym z listów, że nietyl-  
ko był „dziwnie uderzony mocą i ścisłością  
opisów,“ ale nadto zrzekł się przyjemności  
opisywania widzianych cudów, „wszystko bo-  
wiem, coby powiedział, byłoby słabym obra-  
zem wrażeń, jakie były na jego duszę.“ Je-  
żeli do czego słowa te dadzą się zastosować,  
to w pierwszym rzędzie do widoku z cmentarza  
w Clarens, widoku, którego istotnie opisywać  
niepodobna, bo najplastyczniejszego pióra nie  
stać na oddanie takiego pejzażu. W kraj-  
obrazie tym, na który składa się przede-  
wszystkiem amfiteatralne wybrzeże aż po wi-  
dziane ztąd już dokładnie Villeneuve, z Mont-  
reux i Territet w najbliższym sąsiedztwie z le-  
wej strony, główną rolę gra położona o kilka-  
dziesiąt metrów od brzegu mała wysepka ska-  
lista „Roche des Mouettes,“ z willą w ogrodzie  
o paru topolach, wysepka, która rzucona na  
szafirowe tło jeziora i przepysznej panoramy  
Alp, tonąc w szafirowych blaskach, przypo-

mina słynną „Willę nad morzem“ Böcklina,  
tylko, że tamta nie ma tak czarującego oto-  
czenia, choć je wymyśliła wyobraźnia wielkie-  
go artysty, a tu obraz układała sama przyro-  
da... Zszedłszy na dół, na brzeg jeziora, idzie  
się cieniem podobnej alei platanowej, jaką posia-  
da Vevey, i również widzi się łabędzie, pływają-  
ce w pobliżu ładu, i mewy, fruwające w powie-  
trzu; ulica zaś, ciągnąca się wzdłuż brzegu,  
spokojna i cicha, odznacza się bardziej siel-  
skim charakterem. Siedząc tu, na jednej z ła-  
wek w cieniu owych platanów, oddycha się  
dziwnie kojącą atmosferą, zapomina się o wszel-  
kich przykrościach, które szarpia duszę czło-  
wieka naszego nerwowego wieku, naszej epo-  
ki „siły przed prawem,“ „krwi i żelaza,“  
a myśl zwraca się w dziedzinę poezji, od-  
świeża wspomnienia wielkich poetów, którzy  
tu szukali natchnienia, lub pili z krynicy mi-  
łości i szczęścia. Poetą, którego Clarens po-  
ciągało w szczególny sposób, był przed inny-  
mi Słowacki. W listach swoich do matki dwa  
razy wspomina on o projektach przeniesienia  
się z Genewy do Clarens, miejscowość ta bo-  
wiem, wsławiona powieścią Roussa, nęciła go  
swą poetycznością. „Chciałem tej wiosny po-  
jechać do Clarens (pisał w kwietniu r. 1834)  
i w miejscu, gdzie Heloiza żyła, przeżyć kil-  
ka miesięcy, zwłaszcza, że byłoby to dobrze  
na moją kieszeń, w Clarens bowiem można  
mieszkać u wieśniaków, więc można mieszkać  
tanio...“ W rok później, na początku marca,  
znów sobie układał projekty przeniesienia się  
na czas jakiś do Clarens. „Chciałbym — pi-  
sał — wyrwać się nieco z tego nudnego mia-  
steczka, gdzie pleśnieje, jak ostryga nad je-  
ziorem, może więc schronię się na lato do  
jakiejś pobliskiej wsi, a może pojedę do Cla-  
rens, gdzie niegdyś była Heloiza. Tam będą  
mi nadsyłać książki, będę chodził po trawach,  
kąpał się i marzył...“

(Ciąg dalszy nastąpi).

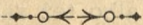


DEOTYMA.



# NAD MODRYM DUNAJEM.

(Z POEMATU „SOBIESKI POD WIEDNIEM“).



(Ciąg dalszy).

Walka stanęła na błysk jednej chwili.  
Wszystkie ku niemu zwróciły się głowy.  
Z muru krzyknęto: — «Vivat Król Majowy!»  
Lecz Janczarowie zęby wyszczérzyli,  
I jęli sarkać: — «Ha! Wićcie wy czemu  
«On taki hardy? Bo po pijanemu.»  
— Gdy ani kropli nie było już w bańce,  
Chłopiec wymownie pożegnał się z Turkiem:  
«Gzy-gzy» pokazał. Ryknęły pohańce.  
On szust! i znikł za przymurkiem.

Jeżeli zniknął, to nie z własnej woli,  
Lecz że go Wachmistrz odwołał. Wachmistrzem,  
Był Doktor Sorbaït, co stał w najognistszém  
Półkolu wałów. Ten rzekł: — «Dość swawoli.  
«Teraz, gdy każdy już męztwo ci przyzna,  
«Stać tu, i ucz się, jak walczy starszyzna.  
«Tylko nam pokaż ten butel ze strzałą.»  
— Wnet poszła w obieg cudowna blaszanka,  
I Frantz tam został. Lecz serce młodzianka,  
Na mur, do Hansa się rwało.

Hans postanowił pomścić przyjaciela.  
Wyrzał, i wązkiem okiem Satyrowém,  
Szukał Araba, co do flaszek strzela.  
Poznał go łatwo, idącego rowem,  
Z głową sterczącą pod białym kapturem,  
I pięćkroć czarnym okręconą sznurem.  
Wystrzelił,— flinta była nic nie warta —  
Chybił,— za murek schował się ze wstydem,  
Złą broń oglądał, i kłął: — «Cóż u czarta,  
«Czyżbym ja nie miał być Cydem?»

Ocknął się.... z dołu szła piekielna wrzawa.  
Tupiąc pod murem, Janczary krzyczały:  
— «Gdzie jest to szczenię, co się naigrawa  
«Ze służ Sułtańskich? Pociąć go w kawały!  
«Przekłete miasto, co płód rodzi taki!  
«Wyrznąć w pień! Dawać drabiny i haki!»  
— Runął po murze krzyk: — «Wody! Kul! Smoły!»  
Wnet się z pomocą rzucili duchowni;  
Wiadra łańcuchem szły na wierzch warowni,  
Wrzący deszcz lunął w rozdoły.

Z rowu, jak z łaźni wybuchnęła para.  
Już też drabiny, wgryźnemi ośęki,  
Parapetowej chwytaly się szczęki.  
Nad nią, wypływał biały kwef Janczara.  
Biada śmiałkowi! Mur, nakształt obroży,  
Jeżył się wszędzie od pik i od noży.  
Wszyscy tam nieśli śmierć. Nawet kobiety.  
Jedna z nich, stara, buraczanej cery,  
Z czépcem na bakier, jak ogon komety,  
Skoczyła ruchem pantery.

— «Djable!» — Krzyknęła.— «Chcesz ty pić? To naści!»  
Chlusnęła smołą, i wyszło z nad muru  
Cós, jak popiersie z czarnego marmuru.  
Sparzon, oślepion, uczuł wir przepaści....  
Jako tonący szuka ręki czyjój,  
Tak on omackiem chwycił sie jój szyi.  
Ścisnął ją, ścisnął, aż kobieta krucha,  
Zaczęła rzeźić, wywracać twarz siną,  
A gdy ją puścił, i odpadł z drabiną,  
Ona też padła bez ducha.

Tak to poległa, przy strzał i dział biciu,  
Niewiasta groźna, Rynku monarchini;  
Tak to zamilkła, po raz pierwszy w życiu.  
Inne przekupki poklekaly przy niej.  
Xięża fukali: — «Nie tu! W tył śledziarki!  
«My będziemy leli, a wy noście garki.»  
— Od głów Janczarskich mur zakwitł na biało.  
Już trzech o cegłę oparło kolana.  
Co znikła czapka ukropem oblana,  
To dziesięć ich wyrastało.

Już kilku mieszczan wyzionęło ducha.  
Piotr Wendler, srogą kontuzją rażony,  
Padł, poczem wzywał, to xiędza, to żony.  
Już któryś Janczar, pełznąc, jak ropucha,  
Na mur wyskoczył, i z niezmierną butą  
Zaczął się szastać, ale go zakłuto.  
Lejtnant Simoni kierował tu bojem,  
A chociaż tracił tyle krwi, że kolet,  
Pierwój błękitny, przeszedł mu we tjolet,  
Zuch Lejtnant stawał na swoim.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## N A S Z E D Z I E C I .



### III.

#### Indywidualność a wychowanie.

W artykule p. t. «Kary i nagrody,» zamieszczonym w n-rze 2-im «Bluszczu» z r. b., zakreśliłmy ogólny zarys psychicznego rozwoju dziecka i zależny od niego olbrzymi wpływ początkowych pojęć i właściwości charakteru na moralną stronę człowieka. Między innymi szan. czytelniczki znalazły tam zdanie znakomitego fizyologa Klaudyusza Bernard'a, głoszące, że «nietylko ruchy naszych organów zewnętrznych stają się automatycznymi, ale i tworzenie się pojęć temu samemu ulega prawu» i t. d. Prawo to, tyżące się wogóle wszystkich właściwości duszy ludzkiej, stosuje się do indywidualności zarówno, jak i do braku tej cechy.

Jeżeli zatem chcemy ją wyrobić w przyszłym człowieku, albo też zabić, musimy działalność naszą zacząć bardzo wczesnie, gdyż tylko w ten sposób możemy dojść do naszego celu.

Zanim jednak przystąpimy do rozwiązania zagadnienia, w jaki sposób należy rozwijać indywidualność u dziecka, koniecznym jest wyjaśnienie potrzeby rozwoju samodzielności myśli i czynów i rozstrzygnięcie pytania, czem ona jest dla postępu?

Jedną z największych zapór do szybkiego i rzetelnego postępu ludzkości jest bezwładność umysłowa. Dzięki niej, wszystko, co dotąd istnieje, i do czegośmy się przyzwyczaili, uważamy za dobre, jeżeli już nie za takie, które zmienić jest zamachem na całą naszą przeszłość. Każda nowa idea, każdy nowy

prąd lub pogląd wydaje się nam czemś nie-naturalnym i bezsensownym, czego należy jak najstaranniej unikać.

Dzieje się tak, naturalnie, dotąd, dopóki ta «nowa» idea, wskutek dłuższego wpływu na nas, nie przestanie wydawać się nam nienaturalnością, ale przeszedłszy w tradycję, będzie prawem, obowiązującym wszystkich. Co zaś godniejsze uwagi, że ta idea, która w czasie swoich narodzin walczyła o postępek, przeszedłszy w ogólne prawo, staje się dlań zaporą, borykając się z nowszymi od niej poglądami i pojęciami.

Najpobieżniejszy rzut oka na nasze dzieje lub stosunki wykaże nam prawdę słów naszych, i czy weźmiemy walkę artystycznych lub naukowych kierunków, czy życie powszednie — dojdziemy do tych samych wyników.



Z drugiej zaś strony bojaźń wypowiedzenia i wprowadzenia w czyn naszych poglądów, o ile je w ogóle sobie wyrobimy, jest przyczyną tego, że pierwsze lepsze hasło, rzucone przez śmielszą, chociaż często i płytką jednostkę, pociąga za sobą całe masy, które idą na oślep, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, co robią. Byle miernota, obdarzona tylko śmiałością i sprytem, wyrasta na wielkość, podczas gdy rzeczywista zasługa pozostaje w cieniu. Gdybyśmy chcieli wyliczać smutne skutki braku indywidualności w życiu prywatnym i publicznym, litania ta nie miałaby końca. Dość będzie, chcąc przekonać się o tem, jak łatwo kierować naszą opinią, jeśli zwrócimy uwagę na to, jak pierwszy lepszy dziennik kieruje artystycznymi poglądami czytelników.

Wada braku samodzielności w każdym kierunku więcej jeszcze tycze się może naszego społeczeństwa, niż innych; zawsze ono było «papugą narodów.» Winne tutaj jest nie tylko wychowanie, które jednak dąży często do zabicia indywidualności, ale i warunki dziejowe, które postawiły nas w takiej, jakiej byliśmy, zależności umysłowej od Zachodu. Ponieważ jednak wychowanie winno się troszczyć o usunięcie tego, co jest złem, obowiązkiem zatem wychowawców nie jest tamowanie indywidualności w dzieciach, ale rozwijanie jej.

Jeżeliby każdy człowiek miał stanowić kółko niezminiającej się i niedążącej do udoskonalenia maszyny, byłoby rzeczą naturalną i pożądaną uczynić go znakomicie rutynowanym automatem. Ponieważ jednak dążeniem ludzkości jest postęp, który na rutynie i na niezmienności polegać nie może, wada więc, o której mówimy, jest w rzeczywistości jedną z największych zapór postępu społecznego. Jakiż ztąd wniosek dla zadania umysłowego i moralnego kształcenia?

«Jak głównym zadaniem kształcenia umysłowego jest myślenie i sąd własny, tak w wychowaniu moralnym powinna być samoistność czyli wprowadzenie w życie i czyn procesu intelektualnego i oparcie go na gruncie charakteru»<sup>1)</sup>.

Jakże ogromna przepaść dzieli teorię od praktyki, indywidualność myśli od samodzielności czynów. Jedynym ogniwnem, jakie łączy te dwa na pozór tak sprzeczne światy, jest wola. Jeżeli znajduje się ona w należyтым stopniu wyrobienia, wtedy świadomość nasza nie jest tylko słońcem, jaśniejącem w dziedzinie teorii, ale zarazem i głównym źródłem naszych czynów. Ponieważ zaś, jak twierdzi Höffding<sup>2)</sup>: «wyższy rozwój woli zależnym jest od rozwoju poznania,» a od woli—czyn, przeto jest oczywistem, że zależność myśli, woli i czynu ze stanowiska psychologicznego zaprzeczyc się nie da, że te trzy czynniki są organicznie ze sobą związane i stanowią trzy różne fazy jednego procesu<sup>3)</sup>.

W pierwszych latach dzieciństwa wychowanie głównie skierowane jest na rozwój umysłowy i fizyczny, podczas gdy na uczucia zwraca się mało uwagi. Wtedy, kiedy ciało rośnie tak szybko, a umysłowość rozwija się

i nabiera tyle pojęć, jak nigdy, naturalnem jest, że uczucia idą temiż drogami. Jeżeli więc tyle zwracamy uwagi na fizyczną i umysłową stronę dziecka, czyżby strona moralna miała leżeć odłogiem i nie wymagać żadnej uprawy?

Prawie, że ze wszystkich uczuć wola przejawia się najwcześniej, dużo wcześniej od miłości, przywiązania, gniewu i t. p. Ponieważ nam trudniej jest zrozumieć lub odczuć dziecko, niżeli człowieka dorosłego, którego możemy pojąć przez analogię, i ponieważ dziedziną uczuć mniej jest od innych widoczna, więc tem bardziej musimy wyteżać w tym kierunku naszą uwagę, aby nie uszedł uwagi naszej żaden przejaw charakteru.

Jeśli zatem zauważymy w czemkolwiek u dziecka przejaw woli, winniśmy nie łamać ją, ale wzmacniać i urabiać. Jedną z najgłośniejszych przyczyn niewyrobienia woli jest lekceważenie sprzeczności mniejszych, powszednich. Kiedy zaś przyjdzie chwila, gdy wola będzie musiała zmierzyć się z przeciwnością większej wagi, brak jej będzie hartu i mocy.

Uprawiajmy zatem wolę dziecka zarówno w poważnych zajęciach, jak i podczas zabaw. Możemy np. podczas rozrywki postawić dziecko w roli dorosłego człowieka i, włożywszy nań żartem odpowiednie obowiązki, przyzwyczajając je do ich spełnienia. Można również dać maleństwu wolną wolę (jeżeli naprzód przekonamy się, że zaufania naszego nie nadużyje) i pozostawiać je bez widocznego dozoru, pod warunkiem naturalnie, że na czas oznaczony musi wypełnić swoje obowiązki. Jules Samson<sup>1)</sup> w swoim dziele, nagrodzonym przez Akademię Francuską, mówi, że «najlepiej jest nie krępować dzieci i pozwolić im bawić się swobodnie. Nigdy nie zapomnę (mówi p. Samson) badawczego wzroku mej matki, skierowanego na mnie w dzieciństwie; działał on poniekąd paraliżująco.» Zwłaszcza zaś należy wystrzegać dzieci od powierzchownego wykonywania prac i obowiązków.

Przejdźmy teraz do pytania, w jaki sposób należy rozwijać indywidualność dziecka?

W pierwszych latach dzieciństwa znakomicie pomaga do tego nauka o rzeczach. «Są to lata, kiedy nauka ze swoją abstrakcją i systematycznością najzupełniej nie odpowiada siłom ducha, a wszelki wysiłek z naszej strony w tym kierunku okaże się próżnym. Jednakowoż i w te lata dusza nasza nie jest bez możliwości przyjmowania wiadomości naukowych, a dobre chęci ku nim kończą się pożądanym skutkiem»<sup>2)</sup>. Należy tylko pamiętać, że nie trzeba zaprzęgać młodocianego umysłu do pracy dedukcyjnej, t. j. wyprowadzającej wnioski z uogólnień, podczas gdy on zaledwie zdolnym jest do działalności indukcyjnej, uogólniającej na podstawie pojedynczych faktów. Jeżeli bowiem dajemy mu gotowe już ogólne pojęcia, odbieramy mu przez to samodzielność pracy umysłowej i zmuszamy maleństwo li tylko do śledzenia naszego biegu myśli. W najmłodszych też latach możliwa jest tylko luźna, dorywcza pogadanka o rzeczach; z czasem jednak w szeregu cało-

dziennych zajęć z małymi dziećmi, pogadanka stała, z pewnym ułożonym planem, w którym szereg pytań jest ułożony z celem pobudzenia interesu umysłowego dziecka i udzielenia mu nowych pojęć, stanowi środkowy punkt, oś, około której wszystko się obraca. Chociażby nauczyciel najpiękniej wypowiedział swoją pogadankę, cała jego retoryka na nic się nie zda, jeśli dziecko nie wiele skorzysta; nie ta pogadanka jest dobrą, którą nauczyciel pięknie wypowiedział, ale ta, która dzieci czegoś nauczyła<sup>1)</sup>.

Poznając świat zewnętrzny, dziecko winno samo wynajdywać jego właściwości, działalność zaś wychowawców musi się ograniczyć do pomagania mu w tej pracy.

Mówiąc o nauce o rzeczach, Spencer wyraża zdanie, że powinniśmy stosować ją nieskończenie szerzej, niż teraz to ma miejsce. Należy więc rozłożyć ją na znaczny przeciąg czasu i, zaczawszy od przedmiotów, znajdujących się w domu, obejmować w miarę rozwoju umysłowego coraz szersze i szersze horyzonty.

Demoullins w znakomitej swej książce p. t.: «Nowa metoda,» wykazuje te olbrzymie rezultaty, jakie przyniósł system wyrabiania indywidualności u dzieci, stosowany na szeroką skalę w Anglii.

Nawyknienie do indywidualnego poznawania ma tę zaletę, że umysł dziecka przyzwyczajając się zastanawiać się nad wszystkim, co je otacza. Przypatrzmy się teraz, jak zazwyczaj zabijamy samodzielność przy uczeniu dzieci. Zamiast tego, żeby dziecko samo dochodziło do uogólnień czy to w dziedzinie arytmetyki, czy gramatyki et cetera, dajemy gotowe formułki i każemy mu wyciągać z nich wnioski dla pojedynczych wypadków. Nie chcemy tego pojąć, że maleństwo, nie dość rozumiejąc formułkę, nie może stosować jej w odpowiedniej chwili. Gdybyśmy zamiast tego doprowadzili dziecko do utworzenia uogólnienia na podstawie pojedynczych faktów, ono pojęłoby je i stosowało zawsze racjonalnie.

Jedną z wielkich wad kształcenia jest to, że uczymy zwykle z książek, podczas gdy książka winna być tylko dopełnieniem i kierownikiem naszej wiedzy, a głównym nauczycielem—świat, który nas otacza. Jeżeli zatem chcemy wyrobić w dziecku umysłową samodzielność, nie pozwalajmy mu przyjmować wiedzy pamięciowo, ale każmy mu samemu dochodzić do niej.

*Uczmy rozumem, nie pamięcią!!*

Kiedy dziecko przekształci się w młodzieńca lub dorastającą panienkę, rodzice i przeloczeni również muszą uznać w nim prawa indywidualności. Przekonania jego winny być brane pod uwagę i szanowane; nie chcemy przez to powiedzieć, że walczyć z nimi nigdy nie trzeba, ale lekceważyć je nie mamy powodu.

W tym czasie dyskusya, rozumnie prowadzona, bez wszelkich uniesień i pogrózek, co ma najczęściej miejsce, jest znakomitym środkiem zarówno do umacniania indywidualności, jak i do prostowania fałszywych poglądów i kroków.

Mógłby mi kto zarzucić, że indywidualność dziecka i uczucie posłuszeństwa nie jest w zgo-

<sup>1)</sup> Marrené.

<sup>2)</sup> Höffding: «Psychologia uczuć i woli.»

<sup>3)</sup> Karpowicz.

<sup>1)</sup> Jules Samson: «Wychowanie dziewcząt w rodzinie.»

<sup>2)</sup> Pierwieski: «Nauka o rzeczach.»

<sup>1)</sup> Chrząszczewska: «Nauka o rzeczach.»

dzie. Bynajmniej jednak tak nie jest, gdyż posłuszeństwo wcale nie powinno się opierać na odczuwaniu przez dziecko wyższości starszych (jak najczęściej się dzieje — fizycznej), ale na logicznych danych. Jeżeli ze źródeł logicznej konieczności wypływa posłuszeństwo, w takim razie rodzice muszą uwzględnić indywidualne cechy i dążności dziecka, i nie będą wymagać od niego tego, coby łamało jego samodzielność, jeśli, naturalnie, zdąży ona w kierunku pożądanym.

Starajmy się zatem uczynić z naszych dzieci nie maszyny, ale samodzielne jednostki które mogłyby popchnąć naprzód społeczeństwo!

Henryk R.

## TEATR MARYONETEK.

Wiadomo wszystkim, jak poważną i pouczającą rozrywkę stanowi teatr. Jest to czynnik nie tylko kształcący, ale i uszlachetniający, jeżeli osoba, stojąca u steru nawy artystycznej, dba o dobro moralne ogółu.

Ten ostatni dzieli się na pewne kategorie, stosownie do wieku, płci i rozwoju umysłowego, i każda z nich pożąda odrębnej ściśle do jej indywidualności zastosowanej rozrywki artystycznej.

Poważne refleksje nasuwa wybór takowej dla naszych „Milusińskich“. O ich rozwój intelektualny i dobro duchowe, zdaniem mojem, najbardziej troszczyć się winniśmy, gdyż są to młodociane latorośle wielkiego drzewa społecznego, które musi posiadać krzepkie konary, by móżdż skutecznie stawić czoło burzom życiowym.

Do niedawna jeszcze dawał się ucywiać wielki brak takiego przybytku sztuki, któryby łączył pożyteczne z przyjemnym i umiał dogodzić wymaganiom maleńkich widzów, może bardziej pod tym względem kapryśnych, niż ich dorośli koledzy.

Brakowi temu umiała jednak zaradzić p. Marya Weryżanka. Z niezwykłą energią, pomimo szczupłych środków, zerwała się do czynu i założyła „Teatrzyk maryonetek“ dla dzieci, z początku na małą skalę. Teatrzyk ów mieścił się w gmachu koncertowym Doliny Szwajcarskiej, musiał powodzenie zdobywać przebojem, zniósł jednak odważnie pociski krytyki dziecięcej i starszego Areopagu, wywalczył sobie stopniowo rozgłos, starannie prowadzonego przybytku dziecinnej Thalii, Melpomeny i Terpsychory o tyle, że dzielna truppa przeniosła swe penaty do własnej siedziby (Chmielna 9), gdzie trzy razy tygodniowo (we czwartki, soboty i niedziele) odbywają się przedstawienia. Są to widowiska różnorodne; dzielą się one, że użyję tu słynnego określenia Poloniusza z „Hamleta“, na: „tragiczne, komiczne, historyczno-sielankowe, tragiczno-historyczne, tragiczno-komiczno-historyczno-sielankowe“ i inne może jeszcze. Repertuar, jak widzimy, barwny i urozmaicony. Szkoda jednak, że nasza publiczność nie darzy teatrzyku maryonetek swem zaufaniem i sympatya, jak na to zasługuje.

We Włoszech (zwłaszcza w Turynie), tej ojczyźnie maryonetek, przedstawienia tych ostatnich cieszą się niebywałym powodzeniem, ale, o dziwo, nawiedzają je tłumy widzów *dorośliych*. U nas, znów, prym dźierży pod tym względem *dziatwa*, starsze osoby towarzysząc im zazwyczaj w charakterze opiekunów. Mimo to jednak, widownia tego nad wyraz sympatycznego teatrzyku, nie bywa szczelnie zapełniana, zwłaszcza w tygodniu.

Czemu?

Wszak lepiej prowadzić na przedstawienia, nie drażniące w niczem ich uczuć delikatnych, niż zmuszać je do napawania się widokiem karkołomnych popisów akrobatów cyrkowych, lub szarpiających nerwy występów groźnych „królów pustyni.“

Teatrzyk maryonetek jeszcze z tego względu zasługuje na uwagę, że w soboty daje widowiska dla starszej dziatwy, składające się nie tylko z pantominy, komedyjki, lecz zarazem z obrazów nikiących i kinematografu. Pierwsze są bardzo pouczające i dla dzieci, i dla starszych i treść ich bywa czerpaną zwykle z dziedziny nauk przyrodniczych, które chyba popularnymi u nas zwać się nie mogą.

Dla ścisłości dodam, że treściwych objaśnień do obrazów, udziela sympatyczna kierowniczka teatrzyku, p. Weryżanka, za co zawsze nagradzana bywa sutym oklaskiem rozpromienionych „pociach“.

Prócz tego zabiegliwa Dyrekcyja teatrzyku zaprowadza ciągle ulepszenia w maszyneryi, dekoracyach, efektach świetlanych, do każdej sztuki sprawia ładne kostyумы, obecnie zaś sprowadziła znaczny transport nowych lalek, które powiększą drużynę artystyczną do 40 członków. Reżyserya wreszcie krząta się gorliwie około wystawienia „Fletu zaczarowanego“, tej perelki teatrzyku maryonetek.

W końcu podsuwam następującą myśl:

Niech młodzież nieco starsza uczęszcza do nowego teatrzyku w towarzystwie młodszego rodzeństwa, a z pewnością nie pożałuje tego. Dyrekcyja zaś teatrzyku, zniżając ceny, zyska tą drogą nowy zastęp widzów.

Zygmunt Deuter.



## Marya de Rute. — Klemencya Royer.



Dziwne zrządzenie losów kazało zejść się w majestacie śmierci tym dwom kobietom, sławnym w nierówny sposób, a jednak będącym jednemi z najwybitniejszych inteligencji kobiecych naszych czasów.

*A tout seigneur tout honneur*, więc słówko naprzód o pani de Rute. Ta, którą Alfons Karr nazwał niegdyś pogniewawszy się z nią *«princesse Brouhaha»*, była jedną z najciekawszych i wybitnych postaci nie tylko Francji. Do Francji należała, jako księżniczka Bonaparte, do Anglii, jako panna Wyse, przez ojca, do Włoszech, jako pani Ratazzi, do Hiszpanii, jako pani Rute.

Znanaświatu całemu, skuzynowana ze wszystkimi europejskimi dworami, pani Rute znała też była, jako literatka, dyrektorka prze-

glądu *«Revue internationale»*, w którym odbijał się żywo kosmopolityzm redaktorski.

Pani de Rute napisała kilka ciekawych powieści, ale jednym z najsensacyjniejszych romansów jest historia jej własnego życia.

Marya Studolmine urodziła się w Anglii, w Waterford, będzie temu siedemdziesiąt jeden lat. Matką jej była córka Lucyana Bonaparte, ojcem jej sir Thomas Wyse, członek parlamentu angielskiego.

Jej tytuł książęcy nie był uznanym we Francji, jakkolwiek podpisywała się Bonaparte-Wyse.

Bonapartych duma, pogarda niemal, błyszczała w jej krótkowzrocznym oku, ale nikt więcej od niej nie umiał być też uprzejmym tak, jak ona bywała, gdy chciała. Bardzo piękna, pięknocią tą otworzyła sobie wszystkie drzwi i w roku 1850-ym gdy ukazała się w Elizeum na balu, kuzyn jej, Ludwik-Napoleon, oczarowany został tak dalece, że posadzano panią de Rute o chęć położenia na swych krucznych włosach cesarskiej korony Bonapartych.

Potwierdza, zdaje się, to przypuszczenie owa nieubłagana walka, małych ukłuć szpilką zapewne, ale walka tem gorętsza, jaką wydała pani de Rute Tuilleryom, gdy kuzyn jej zasiadł, jako nowy dynasta. Nieraz też mawiał Napoleon: *«Moja piękna kuzynka posiada wszystkie cnoty, złe i dobre zarazem. Bawi się wachlarzem, ale niestety, bawi się też i piórem. Wyrzuca pieniądze przez okno i schodzi potem je zbierać. Raz jest lilią, aby zaraz potem być kolcem. Mówi, że pisze wiersze, — mnie się zdaje, że robi tylko hałas. Któż nas oswobodzi od mojej pięknej kuzynki?»*

Oswobodził Napoleona od kuzynki pewien wielki magnat, Fryderyk de Solms, szalenie bogaty. Pragnął on zbliżyć się, jako kuzyn przez żonę do księcia Bonaparte, ale został nieprzyjęty.

Wówczas pani de Solms przeszła do otwartej opozycji. Po zamachu stanu wyjechała też z Francji, a gdy powróciła pod koniec roku 1852-go, rząd wydalil ją, jako cudzoziemkę.

Wówczas pani de Solms przemieszkowała w Medyolanie, Nicei, głównie zaś w Aix-les-Bains, gdzie we wspaniałej willi wiodła wystawne życie, otoczona znakomitościami z całego świata.

W tej epoce pisała bardzo dużo i redagowała pismo *«Matinées d'Aix-les-Bains»*, z takimi współpracownikami, jak Sainte-Beuve, Ponsard, Sue, Karr. Bywali też u niej Rochefort, Kossuth, a Sue mówiąc o niej z entuzjazmem w swych *«Une page de l'histoire de ma vie»* opowiada o jej korespondencji z Wiktorem Hugo, Aleksandrem Dumas'em, Lamennais i Béranger'em. W r. 1856-ym napisała pani de Solms *«Les Chants de l'exilée»*, które zadedykowała Wiktorowi Hugo.

Pan de Solms umarł, zostawiwszy żonie kolosalną fortunę, wówczas, w roku 1860-ym, pani de Solms poznała we Włoszech pana de Ratazzi; zakochał się w niej i ożenił z nią. A wraz z nim zakochały się w tej wnuczce Bonapartych Włochy. Pobyt jej tam był jednym wielkim bankietem i świętem. W r. 1857-ym podróż państwa Ratazzich do Neapolu była prawdziwym tryumfem. Gdy pani

de Ratazzi wchodziła do łoża w teatrze San Carlo, przedstawienie przerywano, bo oczy wszystkich na nią się zwracały. Śmietanka towarzystwa neapolitańskiego wydała na jej cześć bankiet. Pani de Ratazzi przemówiła na nim po włosku. Odtąd był to już nie zachwyty, ale uwielbienie. Gdy młoda kobieta udała się na Wezuwiusz, włościanie, stojący z pochodniami od podnóża góry aż do krateru, czekali jej przybycia, tak, iż cały wulkan zdawał się być illuminowanym odświeżeniem.

Pan de Ratazzi był, jak wiadomo, po Cavourze jednym z największych mężów stanu państwa włoskiego. Był przytem ulubieńcem króla Wiktora-Emanuela, który niezbyt przychylnym okiem patrzył na ten związek, używając wszelkich środków, aby do małżeństwa tego nie dopuścić. Widząc, że nic nie skutkuje, dał do zrozumienia, że pani de Solms dała królowi dowody wybitne swej przychylności, na co minister odrzekł: «Wasza królewska Mość, wiedziałem, że to usłyszę. Ona uprzedziła mnie o tem.»

Gdy Ratazzi umarł, piękną pannę poślubił Ludwik de Rute, inżynier hiszpański, deputowany, były sekretarz stanu w ministerjum spraw wewnętrznych. Zostawszy raz Włoską, stała się z kolei Hiszpanką. W okolicy wybuchły skandale, szybko stłumione, nieusprawiedliwione zresztą. Co zaś zostało, to jakaś atmosfera gorączkowego życia i ruchu, błysku i wspaniałości, przerywanego epizodami godnymi fantastycznych powieści.

Z pomiędzy powieści pani de Rute, więcej znanymi są: «Mille Million», «La Forge», «Réputation d'une femme» i inne.

Wśród najrozmaitszych epizodów jej życia, tak pełnego najdziwniejszych historii, jedno zanotuję jeszcze: pani de Rute straciła w Aix córeczkę wśród specjalnie bolesnych okoliczności. Dziecko zostało przejechane. Zrozpaczona matka kazała córkę zabalsamować i corocznie schodziła do grobu w Aix, aby okrywać córkę pocałunkami. Toż samo zrobiła ze swą matką, księżną Letycją Bonaparte, przyczem dodam, że twarz zmarłej była dla większego złudzenia pokryta odpowiednią emalią, naśladowującą naturalny kolor twarzy.

Nadzwyczajnie inteligentna i zdolna, zmienna i porywcza, dobra i nienawistna bez granic, gdy nienawiść się poczynała; w duszy pani Ratazzi spały widać te ceszarowe składniki charakteru Bonapartych.

Zmarła zostawia po sobie pamięć historyczną, a wiele, wiele ciekawych przyczynków do jej życia będzie jeszcze ogłoszonych.

Mniej świetnym i błyskotliwym, bo nawet nieznanem ogółowi było życie pani Klemencyi Royer.

Cicha, uczona, zagłębiona w pracy, od czasu do czasu zabierająca głos w jakichś abstrakcyjnych, nie dla wszystkich dostępnych kwestiach, Klemencya Roeyr znaną była dobrze tym wielkim uczonym, którzy rzadko do tłumów przemawiają. Natomiast często ona sama popularyzowała wiedzę, choćby ostatnio, w tej pracy «Historia nieba», będącej doskonałym podręcznikiem astronomii popularnej.

Pani Royer od najmłodszych lat oddawała się studiom w Sorbonie, w Collège de France, potem przebiegając Europę, tu ucząc się, tam urządzając odczyty z dziedziny filozofii

i nauk przyrodniczych. W r. 1860-ym, jako trzydziestoletnia kobieta otrzymuje pani Royer nagrodę, wespół i na równi z Prudhonem, na konkursie rządowym na temat teorii podatku. Praca ta zyskała sobie wielki rozgłos, który jeszcze się powiększył, gdy p. Royer pierwsza przyswoiła literaturze francuskiej kapitalne dzieło Darwina «O pochodzeniu gatunków.» Po za tem drukowała wiele innych prac, wśród których zasługują na zaznaczenie: «Le Bien et la loi morale,» «Ce que doit être une église nationale dans une République.» Najwięcej przez autorkę cenionem jej dziełem było «La constitution du monde,» Ostatnio jeszcze, kiedy Van T'Hoff otrzymał nagrodę Nobla, p. Royer protestowała, dowodząc, że teorie stereochemiczne wygłosiła w tem dziele i drobnych pracach o wiele dawniej, niżli ukoronowany oficjalnie Van T'Hoff.

Pani Klemencya Royer była od r. 1900-go kawalerem Legii honorowej. Zmarła w domu schronienia na rękach kilku oddanych sobie kobiet, koleżanek jej z «Frondy,» pisma poświęconego sprawie emancypacji kobiet, której była gorącą orędowniczką.

K. D.-S.



## Kronika działalności kobiecej.



— W dniu 15-ym b. m., to jest w zeszłą sobotę, miało miejsce poświęcenie i otwarcie Kassy przezorności i pomocy dla kobiet, pracujących ręcznie, której w poprzednim numerze naszego pisma, poświęciliśmy obszerną wzmiankę.

Poświęcenia dopełnił ks. prałat Dudrewicz, w asystencji ks. rektora Zygmunta Chelmieckiego, wobec licznie zgromadzonych założycielek i protektorek nowej, zacnej instytucji, oraz wielu zaproszonych osób. Po ceremonii poświęcenia, ks. prałat w serdecznych, ciepłych słowach, odezwał się do zgromadzonych, zachęcając do szczerego, niesłabnącego wytrwania na drodze, niosącej pożytek społeczeństwu.

Pierwszy dzień istnienia pięknie i, co do materialnej strony, korzystnie zapisał się w dziejach Kassy. Suma, zebrana odrazu od członków-protektorów, wynosi 385 rs. Protektorami owymi są panie: Julja hr. Aleksandrowiczówna, W. Beiterowa, Natalja Bielawska, Felicja Czarnecka, Zofja Knollowa, Jadwiga Królikowska, Marya Kryżowa (prezesowa), Aniela Lisenbardowa, M. Mercère i Marya Wislicka (vice-prezesowa); — pp.: Bogusław Herse, Aleksander Feist, Albert Chowańczak i Mroziński.

Skromny lokal Kassy pięknie przyozdobił obraz olejny, przedstawiający Najświętszą Maryę Pannę Niepokalanego poczęcia, malowany i ofiarowany przez artystkę malarzkę, pannę Leokadyę Mirosławską, zaliczoną w poczet honorowych członków Kassy.

W poniedziałek dn. 17-go odbyła się pierwsza sesja komitetu, poparta cennymi wskazówkami rady prawnego młodej instytucji, p. Stanisława Patka.—Jako dzień sesyjny obrano wtorek, godzinę — 8-mą wieczorem.

Panie komitetowe przyjęły na siebie kolejno dyżury we wtorki i soboty, od godziny 7 do 9-ej wieczorem.

Z każdej ważniejszej uchwały, czy zmiany w Kassie, podamy sprawozdanie.

— Dnia 13-go b. m., w Krakowie, odbyło się doroczne posiedzenie stowarzyszenia, no-

szącego miano „Koła artystek polskich.“ Liczy ono członków 40. Po szczegółowym sprawozdaniu z czynności za rok ubiegły, przystąpiono do obrania nowego zarządu. Na przewodniczącą w roku bieżącym obraną została jednogłośnie artystka-rzeźbiarka, Tola Certowiczówna, na wice-przewodniczącą zaś, art.-malarzki: Józefa Geppertówna i Leona Bierkowska. Jako sekretarkę stowarzyszenia wybrano art.-malarzkę Maryę Wolińską, — jako skarbniczkę art.-malarzkę, Hannę Jasińską. P. Certowiczówna postawiła wniosek wejścia w układy ze Stowarzyszeniem artystek francuskich, w celu przyjęcia udziału w wystawie sztuk w Paryżu.

— W roku 1889-ym w Stanach Zjednoczonych było 3,000 kobiet-lekarek, w r. 1896-ym było ich z górą 4,500, obecnie zaś jest aż 6,000. Wiele z nich ma liczną klientelę i zarabia znaczne sumy. Pierwszą kobietą, która otrzymała stopień lekarski, była Elżbieta Blackwell (ukończyła swe wykształcenie medyczne w r. 1849-ym).

Z. S.

— Donoszą, że miss K. A. Crossley, z Indianopolis wybiera się w drogę w przyszłym tygodniu, aby rozpocząć dwudziestą pierwszą podróż naokoło świata.

Miss Crossley przebyła 70 razy Atlantyk, przynajmniej dwanaście razy była na szczycie Piramid i zwiedziła wszystko, cokolwiek godnym jest widzenia na świecie.

Niezwykła ta podróżniczka od osmnastu lat jest niemal w ciągłej podróży, tak, że śmiało zdobywa sobie tytuł największej podróżniczki świata.

— Pierwsza inspektorka fabryczna została mianowaną w wielkim księstwie Badeńskim. Urząd ten, który dotychczas tylko mężczyznom był dostępnym, otrzymała po raz pierwszy kobieta, baronowa de Richthofen, urodzona w Metz.

Baronowa de Richthofen, radczyni architekturalna m. Metz, studyowała przez trzy semestry w Uniwersytetach Heidelbergskim i Berlińskim, teraz zaś broniła na stopień doktora rozprawy, p. t. „Przemiany historyczne stanowiska władz, w stosunku do uprawiania opieki nad robotnikami.“

Od roku baronowa pełniła obowiązki w inspekcji fabrycznej w Karlsruhe.

K. D.-S.

### Treść numeru:

Przy kominku (pogawędka), przez Kazimierza Glińskiego. — Przyszań, powieść współczesna, przez J. Terpiłowską (ciąg dalszy). — Z teki pośmiertnej Teofila Lenartowicza: List do p. K. R. — Typy niewieście w literaturze XIX-go wieku: III. Corinne, przez Czesława Jankowskiego (ciąg dalszy). — Nad wodą jasną i czystą... przez Ferdynanda Hoesicka (ciąg dalszy). — Nad modrym Dunajem (z poematu «Sobieski pod Wiedniem»), przez Deotymę (ciąg dalszy). — Nasze dzieci: III. Indywidualność a wychowanie, przez Henryka R. — Teatr marynetek, przez Zygmunta Deutera. — Marya de Rute i Klemencya Royer, przez K. D.-S. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Od Administracji. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz dziewiąty powieści Ryszarda Henryka Savage «Nowoczesny korsarz.»

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 26). — Przepisy gospodarskie, oraz Tablica krojów.

## Od Administracji.

Wszelkie zlecenia księgarskie naszych prenumeratorek Administracja „Bluszczu” załatwia bezinteresownie bez doliczenia komisowego.

# „ZORZA“

## Pracownia Haftów Stylowych

ORAZ

### SZTUKI STOSOWANEJ.

WARSZAWA, WSPÓLNA № 45.

Pracownia i Magazyn Wyrobów Srebrnych Złotych i Brylantowych  
**J. LIPOWSKI**

w Warszawie, przy ulicy *Trębackiej* Nr. 9.

Poleca wybór biżuterii złotej z drogiemi kamieniami, jako to: pierścionki, broszki, kolczyki, bransolety, breloki, krzyżyki, łańcuszki damskie i męskie, oraz srebro stołowe i fantazyjne. Przyjmuje się zlecenia na żetony, medale pamiątkowe, monogramy, faksymile i wogóle na wszelkie obstalunki w zakres jubilerstwa wchodzące. — **Ceny fabryczne.**

SZKOŁA KROJU  
**I. GRĄBSKIEJ**  
 CHMIELNA № 49.

Metoda własna, dyplomowana w Paryżu, bez linijek i poprawek krajać można wprost z materiału. Patenty cechowe. 14

We wszystkich księgarniach sprzedają się dzieła pedagogiczne Reussnera do bardzo przedkij i najłatwiejszej nauki **Języków Obcych bez nauczyciela** z objaśnieniem wymowy i kluczem, pod tyt.

## SAMOUCZEK

**Polsko-Francuski** kurs I-szy kop. 1.20—kurs II-gi kop. 3.20.  
**Gramatyka polsko-francuska** kop. 1.20.

**Polsko-Ruski** kurs I-szy k. 1.40, kurs II-gi kop. 1.80. 9

Skład u autora, Warszawa, **Złota** № 6.

## Biblioteka Samokształcenia.

Więcej światła! Więcej nauki! Oto hasło każdego narodu, który pragnie istnieć. Lecz książka naukowa rzadko ukazuje się u nas, a swą wysoką ceną odstrasza czytelnika. Ukazują się i rzeczy tańsze, lecz te swoją wartością, zazwyczaj bardzo mierną, nie mogą pociągnąć. Potrzeba zaś samokształcenia, która ostatnimi czasy dokonała takiego postępu u nas, oczekuje tej chwili, kiedyby rozpoczęto systematyczne wydawnictwo książek naukowych tanich, a dobrych. Kierując się temi pobudkami, redakcyja „**Poradnika dla Czytających Książki**“ przystępuje do wydania szeregu tanich wydawnictw. Pierwsza książka ukaże się 1-go marca r. b. i w przeciągu tego roku wyjdzie 20 tomów, każdy zawierający od 6—9 ark. druku. Cena tomiku dla prenumeratorów **Poradnika** 25 kop. czyli rocznie 5 rb., z przes. 7 rb., półr. 2.50, 3.50. Wydawnictwo między innymi obejmie: Dr. Gorzycki: **Historia chłopów w dawnej Polsce do zniesienia poddaństwa**; Höfding: **Etyka**; Jevons St.: **Logika**; T. O. Mason: **Udział kobiety w pierwotnej kulturze**; Haecckel: **Dzieje utworzenia przyrody**; E. Clodd: **Historia pierwotnego człowieka**; J. Żuławski: **Spinoza — Człowiek i dzieło**; Scherr: **Historia komedii ludzkiej**; Radliński: **Historia Antropologii**; Chambers: **Opowiadanie o gwiazdach**; Neumayer: **Drzewo rodowodowe zwierząt**; L. Woltman: **Darwinizm społeczny**; O. Wilde: **Krytyka artystyczna**; M. Kowalewskij: **Rozwój stosunków ekonomicznych w Zachodniej Europie**; A. Sutherland: **Początek i wzrost instynktów moralnych**.

Jednocześnie numer **Poradnika** będą systematycznie poświęcane rozbirowi ukazującej się książki: **wykazaniu stanu danej gałęzi nauki, braków, które mogą istnieć w wydanem dziele, uzupełnieniom, które będą potrzebne.**

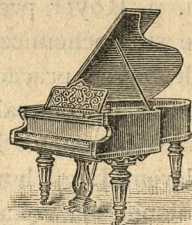
Redakcyja **Poradnika Nowy-Swiat** 41. Cena rocznie 2 rb., z przesyłką 2.60, półrocznie 1 rb., 1.30 kop.

Prosimy o wczesne nadsyłanie zamówień w celu unormowania nakładu. 26

## HERMAN & GROSSMAN

Warszawa, 16 Mazowiecka 16.

PETERSBURG — MOSKWA — LUBLIN



### Fortepiany, Pianina, Organy

fabryk krajowych i zagranicznych w wielkim wyborze

Sprzedaż na rozpłaty miesięczne po 25 rb.

WYNAJEM WYBOROWYCH INSTRUMENTÓW

Angelus — Orchestral „**SYMPHONY**”  
 Pianino — „**CROWN**” 15

Cenniki ilustrowane gratis.

Telefon № 812.

SPECYALNA FABRYKA FARTUCHÓW I HALEK

## M. Raszkes i S-ka

Muranowska Nr. 14. 18

Wydawnictwa **MICHAŁA ARCTA** w Warszawie,  
 NOWY-SWIAT № 53.

### Zdrowie dziecka

Przewodnik dla rodziców, w prawidłowym fizycznym i umysłowym rozwoju dzieci od urodzenia aż do szkół oraz higiena szkolna przez **D-ra L. Wolberga**. Z 15-ma rycinami — kop. 60.

### Pielęgnowanie

dzieci zdrowych i leczenie chorych, podług Ks. S. Kneippa.

### Dyjetetyka dzieci,

oparta na wskazówkach przyrody. Przewodnik w zdrowem pielęgnowaniu dzieci, skreślony przez **D-ra E. Madeyskiego**.

### Wychowanie macierzyńskie

przez **Z. Kowerską** (Wydanie 11) rb. 1 k. 20.

Szczegółowe katalogi na żądanie bezpłatnie.

## PIJCIE MOLINARIKAWĘ

Skład główny i Kantor Senatorska 22.

Marszałkowska № 129.

Oddziały: Miodowa № 4.

Fabryka Leszno № 98a.

Nowy-Swiat № 7.

16

Egzystuje od r. 1878. Parowa Farbiarnia i Pralnia Chemiczna Egzystuje od r. 1878.

## p. f. ŁUKOMSKI

Warszawa, BRACKA Nr. 6.

Przyjmuje się do prania i farbowania garderobę damską i męską bez prucia, gobeliny, firanki, dywany, chodniki; odświeżanie mebli i apartamentów z gwarancją firmy w razie uszkodzenia. Specjalna maszyna, sprowadzona z zagranicy do dekatyzowania sukna, kortu, syberyiny i t. p. Pranie firanek, portyer, chodników przez specjalistów, których zakład wysyła na własny koszt.

**Ceny niskie, lecz stałe.**

Nowo utworzony Magazyn Sukien

**L. TRANTZ**, Nowy - Świat 60

poleca wielki wybór gotowych bluzek, szlafroków etc. Zamówienia wykonywane są w przeciągu 24 godzin. 22.

NOWO-OTWORZONY

### ZAKŁAD OGRODNICZY

**B. SOLNICKI**

ul. Marszałkowska № 85.

POLECA wszelkie roboty Ogrodnicze jako i Bukieciarskie po cenach bardzo przystępnych. 17

Magazyn Mebli oraz Zakład Tapicersko-Dekoracyjny

### Ant. STRÓMIŁO

25. BRACKA 25.

Poleca całkowite urządzenia apartamentów od najskromniejszych do najwykwintniejszych. — Stołarnia własna. — Ceny niskie.

SZKOŁA KROJU

## S. ROSZKOWSKIEJ

Nowy-Swiat Nr. 7.

Metoda Worth'a; objaśnienia w czterech językach.



### Album Sztuki

### Polskiej

Cena w oprawie Rb. 12.